

WŁADYSŁAW

STANISŁAW

REYMONT

FERMENTY

Władysław Stanisław Reymont

Fermenty

«Public Domain»

Reymont W.

Fermenty / W. Reymont — «Public Domain»,

Dalsze losy Janki Orłowskiej, kobiety marzącej o karierze aktorskiej, bohaterki „Komediantki”. Po zakończeniu nieudanej historii teatralnej Janka Orłowska powraca do rodzinnego Bukowca. Po jakimś czasie wychodzi za mąż, chcąc wyzwolić się spod władzy narzekającego na jej nieudolność ojca. Rola podległej mężowi kobiety nie jest czymś, o czym Janka marzyła, ale mimo że zwleka z konsumpcją związku, zachodzi w końcu w ciążę i rodzi dziecko. W kontynuacji historii Reymont w niezwykle ciekawy sposób kreśli postać głównej bohaterki, która przyjmuje swój los z godnością i stara się radzić sobie w obecnym położeniu. Powieść „Fermenty” ukazywała się w 1896 roku w odcinkach w „Bibliotece Warszawskiej”, a rok później została wydana jako samodzielna publikacja.

© Reymont W.

© Public Domain

Содержание

Tom pierwszy	5
I	5
II	12
III	21
IV	35
V	38
VI	42
VII	48
VIII	53
Конец ознакомительного фрагмента.	59

Władysław Stanisław Reymont

Fermenty

Tom pierwszy

I

– Depesza od doktora; przyjedzie towarowym o pierwszej; pan naczelnik go wcześniej widocznie zamówił?

– Co to pana obchodzi! – mruknął zawiadowca drogi, odbierając depeszę.

Telegrafista cofnął się, zmieszany nieco, do telegrafu, usiadł przy aparacie, zatopił długie, chude, nerwowe palce w jasnych jak len włosach i zapatrzył się przez okno w zamglony, jesienny dzień. Cisza się rozlała i zdawała się zatapiać całą stację w nudzie, zimnie i wilgoci. Deszcz płókał szyby z jednostajnym, usypiającym brzękiem i jakby związywał niebo i ziemię miliardami szarych skośnych włókien, a zegar, umieszczony w wysokiej szafce i mający cyferblat nazewnątrz stacji, cykał z okropną monotonią.

Telegrafista nie mógł usiedzieć na miejscu, wstał i chodził na palcach, spoglądając z pewną obawą na drzwi otwarte do pokoju zawiadowcy, to na peron przemieęły, szklący się wodą, to, z czołem na szybie drzwi wspartem, słuchał dźwięków fortepianu, płynących niby słaby szmer z piętra stacji – ale odchodził zaraz, bo te równe, jednostajne rytmy, wybijane ciągle wkółko, denerwowały go jeszcze bardziej. Usiadł znowu przy aparacie i zaczął pisać list.

„Mamusi! Tak się nudzę, droga mamu, że aż mi się w tej chwili płakać zachciało. Jest tak mokro, tak zimno, tak brzydko, że mię ogarnia rozpacz. Mamu, czy ja długo będę musiał siedzieć w tym Bukowcu? Bo, przy tem wszystkim, czuję się bardzo niezdrowym. Wczoraj zaczęło mi strzykać pod lewą łopatką, roztarłem kamforą i przeszło – ale dzisiaj język nieco obłożony i nic a nic nie mam apetytu, chociaż ta kaczka, którą mi mama przysłała, a szczególnie nadzienie było pyszne. Koszyczek odsyłam i sześć par mankietów brudnych, i kamaszki do podzelowania. Może mi mamusia kupi i przyśle rękawiczki lapis, z czarnem wyszyciem. Wie mamusia, dzisiaj rano tak się zgryzłem, że bałem się, aby mi to nie zaszkodziło, bo ta Andrzejowa zabiła te zielone żabki, co to wuj przywiózł mi z Wiednia, pamięta mamu? A były takie śliczne i ogromnie się wszystkim podobały. Mamusi! a flanelowy kaftanik, to jużby warto mieć, bo lada dzień mogą być przymrozki – myślę, że nie potrzeba kupować nowego, bo tamten...”

Ukrył list pod papiery, aparat zaczął przywoływać gwałtownie, a później wybijał znaki na wąskim pasku papieru, który się odwijał z krążka. Telegrafista czytał uważnie, gdy od peronu wszedł dozorca drogowy, Świerkoski, brunet, wysoki, chudy, z rzadkim zarostem i niespokojnymi czarnymi oczyma, nieco pochylony, w krótkim, jasnym kożusku, w długich butach i kapuzie nieprzemakalnej na głowie.

– Amis! no pójdz piesku! Amis! no złotko, chodź do pana, chodź! – wołał pieszcotliwie na psa, który stanął przed drzwiami, bojąc się wejść, usiadł na stopniach, niespokojnie patrzył na pana i kręcił ogonem.

– Zamykaj pan drzwi, bo zimno!

– Amis, psie jeden! – krzyknął Świerkoski; pies zaskowyczał żałośnie, przypląszczył się i wolno zaczął czołgać się do jego nóg. Świerkoski schwycił go za grzbiet i wrzucił do telegrafu. Pies tylko zapiszczał i z niesłychanym pośpiechem wcisnął się pod ceratową kanapkę, na której usiadł Świerkoski zły i pochmurny, jak odbicie tego październikowego dnia. Świerkoski złamał się we dwoje, zupełnie jak scyzoryk się zamknął, bo położył twarz na pięściach, wspartych na

kolanach, i siedział czas jakiś w milczeniu, oczy mu niespokojnie biegały po podłodze, zarzuconej mundsztukami papierosów, kilka razy uderzył o brązową skrzynkę, na której bielił się napis: „Środki opatrunkowe. Stacja Bukowiec”, i znowu goniły, to jakieś ostatnie muchy, leniwie wlokące się po podłodze, to za butami telegrafisty, które co chwila zmieniają pozycję, to patrzyły w zwichrzoną górę papierowej wstążki, która wciąż spływała z krążka na ziemię, wreszcie cmoknął cicho na psa. Amis wysuwał popielaty łeb trwożnie, ale, jakby zbierając całą odwagę, skoczył na kanapkę i zaczął go lizać po twarzy.

– Precz! tam!... – syknął Świerkoski, wskazując drzwi. Pies poszedł wolno, usiadł przy drzwiach i żałośnie, prawie błagalnie, patrzył się piwnymi oczyma. Świerkoski nieznacznie wyjął z zanadru kawał skręconego rzemienia, spoglądał pieszczotliwie na psa, uśmiechał się łagodnie i szeptał:

– Amis! chodź synku, chodź! – Pies przybiegł w radosnych susach. Schwycił go za kark i zaczął bić rzemieniem. – Będziesz złotko słuchać pana, co? Synek będzie słuchał, co? Amis będzie posłuszny, co? – Pies szarpał się i skomlał rozpaczliwie, po jego skórze, pokrytej krótkim, popielatym włosem, lśniącym jak jedwab, przebiegały dreszcze, niby fale, wyginał się, lizał buty pana, prosił się oczyma, ale Świerkoski wpadł w pasję i bił go coraz zacieklej. – A będziesz cicho synku, co? a zmilkniesz przyjacielu, co?

– Co pan robisz? Przysięgam Bogu, że chwili spokoju niema – zawołał zawiadowca, wybiegając ze swego pokoju. Popatrzył groźnie i cofnął się, zatrzasnął ze złością drzwi za sobą.

– Idjota! – mruknął Świerkoski, puścił psa, schował rzemień i rozprostował się. Pies lizał sobie skórę i spoglądał chwilami wylęknionym wzrokiem z kąta, w którym leżał. Świerkoski zapalił papierosa, skubał rzadką brodę, uśmiechał się przyjacielsko i z jakąś dziką miłością do psa i spoglądał w okno, na plant, gdzie kilkunastu robotników, z głowami pozawijanymi w worki, z których porobili sobie kapuzy, podbijało pokłady.

Długie milczenie przerwał telegrafista, bo aparat zamilkł:

– Co? porządny deszcz?

– A porządny.

– Błoto duże?

– A duże.

– Okropny październik?..

– Okropny październik – odpowiedział jak echo Świerkoski.

– A co to będzie w zimie?

– Zima.

– Ja teraz już wytrzymać nie mogę, nudy takie, że chyba się wścieknę.

– Tylko pan później nie pogryź mojego Amisa – szepnął drwiąco Świerkoski.

Pies na dźwięk swojego nazwiska zaskomlał cicho i położył się u nóg pana.

– Psia służba. Ani gdzie wyjść, ani ludzi, ani rozrywek.

– Przecież pan bywasz u tego... Grzesikiewicza – powiedział z przyciskiem.

– Tak, ale... młody Grzesikiewicz, pan Andrzej, chociaż nie z mojej sfery, ale wyjątkowo porządny człowiek, to znowu rzadko go można zastać w domu, a wpaść w ręce jego ojca, prostego chłopca – dziękuję. Prowadzi zaraz do karczmy, częstuje wódką i kiełbasą, sprasza całą wieś, funduje wszystkim, a jak się upije, zaraz całuje – otrząsnął się nerwowo i splunął z obrzydzenia. – Myślałem ostatnią razą, że zemdleję, tylko, że noszę z sobą zawsze eter, więc się orzeźwiłem i uciekłem spiesznie.

– Pan jesteś bardzo delikatny – powiedział cicho i błysnął urągliwie oczyma Świerkoski.

– To jest naturalne nie wychowywałem się przecież w chałupie, ani nad rynsztokiem.

– Wiemy tu wszyscy o tem, a jakże, że w salonach, w atlasach, w złożonych kołyskach, przy mamie, przy wujaszku, z niańką, z boną, z doktorem, Felusiem, jak mój Amis – drwił z dziką złością Świerkoski i patrzył na niego nienawistnie.

– O tak, tak – odpowiedział z pewną dumą telegrafista – ale nie wiem doprawdy, co w tem jest śmiesznego, że pan kpisz, bo przecież, że pan się tak nie chowałeś, to cóż ja temu winien, zresztą taka nierówność jest konieczna, bo...

– Tak, konieczna – przerwał mu śpiesznie – bo później się wszystko wyrównywa, bo później taki atłasowy Stasio, jak pan, panie Babiński, musi służyć, musi robić, po nocach nie sypiać, oczki wyteżać i pobierać taką małą pensyjkę, i zasmucać mamę, że się nudzi, i że mu się buciki podarły! hi! hi! hi! – zakończył śmiechem przykrym, jękliwym, ostrym jak zgrzyt stali po szkłe.

Stasio się zarumienił jak dziewczyna, oczy mu się zaszklily łzami jakiejś żałości, blado-różowe, wypukłe usta drżały nerwowo, ale nie odpowiedział, rozpiął tylko kołnierz munduru, powąchał eter, który nosił przy sobie i zagadnął łagodnie.

– Może pan masz jakie książki do czytania?

– Nie! nie mam pieniędzy na głupstwa – rzekł szorstko.

Stasio popatrzył na niego z dobrotliwym politowaniem i znowu zmienił przedmiot rozmowy.

– Przyszedł dzisiaj w nocy багаż dla pana z Warszawy.

– Przyszedł – zawołał radośnie Świerkoski, podnosząc się. – Nie uważałeś pan, czy aby w rogożach?

– Tak, doskonale zapakowany. Kupiłeś pan co?

– I... nie... nie... skądbym wziął pieniędzy, dostałem od familji; – mówił śpiesznie, rzucając niespokojnie oczyma – jakiś stary grat, którego przewóz kosztuje mnie tyle, że jestem zły, iż go wziąłem.

Aparat zaczął stukać, Stasio znowu czytał z pasków, potem wstał, wyszedł na peron, uderzył w dzwonek stacyjny i cofnął się natychmiast.

– Sygnały od Kielc, pociąg wyszedł – rzucił robotnikowi, który się zjawił na dzwonek.

– Chodź pan na wódkę! – szepnął miękko jakoś Świerkoski.

– Po pociągu to i owszem, chociaż, co prawda, wódka mi szkodzi.

– Co tam, mama przyśle lekarstwo! – Zaśmiał się i poklepał go przyjacielsko po żołądku, bo, pomimo ustawicznych drwin, żyli w zgodzie ze Stasiem.

– Słyszysz pan! zawiadowca rozmawia z sobą.

Zaczęli słuchać. Z pokoju Orłowskiego dochodziły wyraźne głosy sprzeczki, czasem jakiś dosadny frazes, kłątwa; to znowu przyciszony, pokorny i błagający głos.

– Idjota! musiał się pomylić i sam sobie wymyśla i usprawiedliwia się przed sobą. Jeżeli jego nie zamkną u Bonifratrów, to ja, Świerkoski, będę miał miliony. Pan go nie znasz jeszcze dobrze, ale my... – Nie skończył mówić, bo Orłowski wszedł do nich ze swego pokoju; był ogromnie wzburzony, wielkie, czarne oczy, o krwawym odbłasku, pały mu wzruszeniem, twarz o rysach regularnych, jeszcze bardzo piękna, jakby wycięta z dawnych portretów senatorów weneckich, malowanych przez Tintoretta, otoczona gęstymi, szpakowatymi włosami i zakończona wspaniałą, spływającą do pól piersi brodą, dumna i zacięta, z brwiami prawie zrośniętymi, była aż sina z jakiejś irytacji. Przeszedł obok nich bez słowa i wyszedł na korytarz.

Szedł wolno na piętro kamiennymi schodami, zaciskał ręce, mruzczał niewyraźnie, to znowu pobłażająco i wyniosłe uśmiechał się.

Wszedł do kuchni, obrzucił badawczo wszystkie sprzęty, zajrzał do ognia pod blachę i przytłumionym głosem zapytał starej służącej, obierającej kartofle pod oknem:

– Panna Janina śpi?

– Nie wiem, ale to chybikiem obaczę.

– Nie trzeba – powiedział śpiesznie i wszedł do sąsiedniego pokoju, który służył za jadalnię, i przez zapuszczone kotary zajrzał do sypialni córki. W ciemnościach, za ledwie słabo rozrzedzonych pasmami brudnego dnia, przeciekającymi przez zapuszczone story, po chwili patrzenia dostrzegł łóżko i blade, niepewne zarysy Janki leżącej. Musiała usłyszeć szelest jego kroków, bo się poruszyła na pościeli. Poczul jej wzrok na sobie i natychmiast się cofnął zmieszany. Postać jeszcze chwilę,

podniósł koniec brody do ust, przyciął ją zębami i powrócił do kancelarji. Zastał tam Karasia, maszynistę rezerwowego, który mieszkał w Bukowcu, bo tu była rezerwowa maszyna, gotowa w każdej chwili wyruszyć z pomocą, gdyby było tego potrzeba, skinął mu głową i wszedł do swojego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

– Świerk! wiesz! – zaczął Karaś, siadając na skrzynce ze środkami opatrunkowymi – jesteś codziennie podobniejszy do swojego psa, nawet już płowiejesz. Panie Babiński, pan jesteś grubo uczoney, skończyłeś podobno całe trzy klasy; czy Darwin wywodzi ludzi od małp, czy od psów?

– W każdym razie nie od Karasiów.

– Nie jestem godzien takiego zaszczytu, nie jestem godzien! – śmiał się Karaś, zacierał ręce i zaczął drobnymi kroczkami chodzić. Jego drobna, chuda i niska postać, śpiczasta bródka, cienki i długi nos, małe i kłujące oczki, wypukłe bardzo czoło, rzadkie, rudawe włosy, wystające kości policzkowe, sine z odmarznięcia uszy, jego cienkie nogi – wszystko to się trzęsło, skakało i poruszało ustawicznie, zdawało się, że wszystkie jego członki, obciążone w grubym kożuch, pokryty wyksatyną błyszczącą, zasmarowane oliwą i smarowidłami, skaczą ustawicznie i grożą rozsypaniem.

– Nie masz pan jakiej nowej książki? – spytał go Staś.

– Mam, wczoraj dostałem, ale jeszcze czytam. Bon! pożyczę panu, kapitalna historia i z takim pieprzykiem, jak to my lubimy, panie Stanisławie. – Zaśmiał się, zatarł ręce, zaczął błyskać oczyma, wyszczerzył zęby i znowu biegał po pokoju.

– Uważasz pan, jest tam schadzka miłosna, cudissimo pisana, aż się krew gotuje przy czytaniu; musisz się pan rzeźwić eterem, albo lepiej pan zrób, przyłóż sobie przed zaczęciem książki synapizmy z chrzanu.

– Dziękuję, takich książek nie czytam – odpowiedział Staś, rumieniąc się.

– Bon! dziewczątka anielskie, gołąbku niewinny, bardzo słusznie robisz, napij się lepiej mleczka, wysmaruj kamforą, połóż do łóżka i czytaj z Tańskich Hofmanową, to dobrze robi, i na sen, i na trawienie. Żarty na stronę – dodał poważniej. – Zaleska musi mieć książki jakie, przecież to kobieta i piękna, i wykształcona, jak zapewnia jej mąż.

– Ślicznie gra na fortepianie – wtrącił Staś i znowu się zarumienił.

– Nie rumień się pan tak dziewiczo, afekty umieściłeś pan godnie; to mi się podoba.

– Jak na marnego Karasia, jest to za duża ryba, wielki szczupak zgryzłby cię.

– Nie bój się, Świerkoski! nie bój się! nie takie wieloryby ogryzałem, i było bon.

Zaczął zacierać ręce i śmiał się tak cicho, głęboko i wstrętnie, że Staś odwrócił się od niego; nie mógł patrzeć na jego oczki, przysłonięte białawą mgłą, i na rzadkie, żółte i ostre zęby, które wyszczerzał w tym śmiechu. Trząsał się cały i rzucał na wszystkie strony.

– Wiecie – zaczął znowu, uspokoiwszy się – byłem wczoraj w Kielcach, miałem przygodę taką, że... cudissimo, opowiem wam, bon?

– Nie ciekawiśmy, schowaj dla swojej Karasicy, będzie wdzięczna – przerwał mu Świerkoski.

– Pociąg dochodzi! – zawołał robotnik, uchylając drzwi z peronu.

Orłowski w czerwonej czapce wyszedł, naciągnął niepokalanie białe rękawiczki i poszedł na peron.

Karaś stanął na stopniach przed dworcem. Świerkoski znowu się złożył w dwoje, a Babiński stukał w aparat, notował, dawał sygnały elektryczne.

Pociąg z głuchym szumem i sapaniem wtoczył się na szyny i stanął; masa żelastwa szczęknęła ciężko, pusty peron ożywił się nieco, bo kilku smarowników i brekowych zeszło ze swoich odkrytych kołków na wagonach i rozprostowywało na ziemi pogięte ciała.

Orłowski, chmurny, pod parasolem, spacerował wzdłuż pociągu; chwilami, kiedy przechodził pod oknami, z których nieskończonym potokiem płynęły gamy chromatyczne, ściągał nerwowo brwi, zaciskał silniej, parasol, przyśpieszał kroku i spoglądał na ostatnie, narożne okna nad kancelarją stacyjną, przysłonięte szczelnie. Wzdychał, zawracał i chodził dotąd, aż pociąg znowu zaczął sapać, dyszeć, trzeszczeć, szcześnieć, gwizdać – i powlókł się dalej, pozostawiając za sobą obłoki rudego,

duszącego dymu, który darł się na strzępy o półnagie drzewa ogródka stacyjnego i rozwłóczył rudawym pasem po równo obciętej ścianie lasu, stojącego tuż nad plantem.

Orłowski powrócił do kancelarji i, skoro się tylko zamknął, Świerkoski się podniósł.

– Chodźcie na wódkę.

– Ja zaraz przyjdę do was; spytam się tylko, gdzie jest osobowy? – powiedział Staś, stukając aparatem.

Karaś ze Świerkoskim poszli do bufetu. Paru przemokłych żydów drzemało na ławkach, oczekując na osobowy pociąg, a za bufetem, wciśnięty pomiędzy szafę i piec, przysłonięty gazetą, chrapał głośno bufetowy. W drugim rogu wielkiej, brudnej sali kilku dróżników i robotników grało zatłuszczonymi kartami.

Przeszli do drugiej sali pustej zupełnie.

– Twoje zdrowie, Świerk, i twojego konia, i twojego psa, i twoich szwindłów, bon!

– Zaczekaj, zaraz przyjdzie Babiński, to wypijemy razem.

– Bon, ale powiedz-no, podobno się żenisz, czy tam coś takiego z p. Zofją?

Świerkoski się skrzywił, poskubał bródkę, pobiegał oczyma po sali, wsunął ręce w rękawy i mówił:

– I... co ja dałbym jeść żonie? żwir i podkłady chyba?

– No i mech, jak swojemu koniowi.

– Śmieję się... przecież jesteś żonaty i wiesz, co kosztuje żona, chociaż twoja to jeszcze anioł.

– Bon, kwadratowy anioł, powiedz.

– A te wszystkie panny, co to jest? gdzie znajdziesz zdrową? gdzie jest mądra, ładna, gospodarna i oszczędna? Jak się znajdzie jaka podobna, to nie ma grosza; jak znowu go ma, to nos do góry i myśli, że królowa, a jakie wymagania!

– O tak, chcą jadać, muszą chodzić w bucikach, mieć suknię, potrzebują czasami jakiej przyjemności, chcą żyć po ludzku; szelmy te panny, czego im się zachciewa!... a przytem nie lubią, aby je bić, jak psa albo chłopów... – zaśmiał się Karaś.

– Gadanie, żebym miał na to, to i ja żyłbym po ludzku, a jeśli oszczędzam, jeśli chcę znaleźć także żonę oszczędną, to tylko dlatego, żeby później żyć po ludzku. O, ja jeszcze będę inaczej żył, będę... Wiesz, znam tutaj tylko jedną pannę, z którąbym się choćby jutro ożenił, chociaż wielka pani...

– Czy też Grzesikiewicz ożeni się z zawiadowcy córką?

Świerkoski rzucił szybkie spojrzenie na niego, zgiął się, ręce głębiej wsunął w rękawy i nie odpowiedział, bo to przypomnienie Grzesikiewicza przejęło go złością i niechęcią.

Przybiegł Stasio, i zaczęli pić wódkę.

– Muszę się śpieszyć, bo trzeba korespondencje ekspedjować na osobowy.

– Bon, ale jest jeszcze jedno źródło książek, panna Orłowska.

– A, ta, co się truła; nie znam jej zupełnie i widziałem tylko wtedy, kiedy ją przenoszono z wagonu do mieszkania.

– To pan nie znasz całej historii? bon, opowiem.

– Bardzo mało, wiem tylko, że się pogniewała z ojcem, wyjechała do teatru, później się truła, sam nawet o tem czytałem w pismach. Byłem już w Bukowcu, jak zawiadowca jeździł po nią do Warszawy. Co to za panna?

– Warjatka, jak i jej ojciec – szepnął Świerkoski.

– Ale piękna i wykształcona, bardzo piękna, majestatyczna kobieta, kształty cudowne, wzrok wspaniały, oczy ogromne i ogniste, cudissimo, że tylko całować.

Zaczął się trząść i śmiać cicho i zacierał ręce.

– Wartoby tak jeszcze coś tego chlapanąć. Panie bufet, sześć mocnych.

– Czemuż odrazu sześć?

– Będzie bon, panie Stasiu, na zapas.

– Słuchajcie no – zabrał głos Świerkoski, podnosząc głowę z kolan. – Chcę wam coś zaproponować, niezły interes, na którym możemy dobrze zarobić.

– Bon, Świerk, mów.

– Jest do kupienia poręba, niewielka, za tysiąc pięćset rubli, blisko kolei, oglądałem ją niedawno. Śmiało można zarobić na niej tysiąc rubli, mam nawet już zbytek na drzewo do Radomia. Weźmy ją do spółki, interes złoty.

– I... to już weź sam, nie mam pieniędzy, a zresztą orznąłeś mnie zimą na węglach, daj spokój, ja wiem, nie tłumacz się, bo ci powiem, czem jesteś...

– O, powiedz, ja się nie pogniewam, z pewnością się nie pogniewam...

– Bon! otóż wyszedłeś ze mną, jak świnia, tak... bufet! sześć mocnych! – krzyknął.

– Tylko tyle, to niewiele – i Świerkoski zaczął się śmiać, ściągał na lewą stronę usta, skubał brodę, latał oczyma po twarzach i dalej ciągnął: – tak, to niewiele, bo mogłem się urządzać lepiej, a nie zrobiłem tego, to handel, mój kochany.

– Łajdactwo, powiedz! handel ładny, przez trzy miesiące straciłem trzysta rubli, które przeszły do twojej kieszeni, któreś mi wyciągnął.

– Kupmy porębę, to będziesz się mógł odbić, jeśli potrafisz...

– Gdzież ta poręba? przystępuję do spółki! – zawołał po chwili namysłu Karaś.

– W Karczmiskach u Grzesikiewicza – szepnął śpiesznie Świerkoski, oczy mu zamigotały radością, pogładził psa.

– Hi! hi! tydzień temu Szczygielski kupił i już tnie... hi!.. hi!.. – śmiał się Karaś, porwał się z krzesła, zaczął biegać po sali, trzęsąc się cały, zadowolenie malowało się w jego oczkach. – Bufet! sześć mocnych! – rzucił we drzwi. – Powiem ci, Świerk, że chcesz robić interes, a głupi jesteś, bo się prędko zmiarkują, robisz łajdactwa, ale małe, marne, głupie, które pachną kratką... – Wypił wszystkie sześć kieliszków jeden po drugim, zatarł ręce, poklepał drwiąco Świerkoskiego po plecach i wyszedł razem ze Stasiem.

– Zobaczmy... zobaczmy... – szepnął Świerkoski. – Łajdactwa, co za łajdactwa? chcę zarobić, chcę mieć pieniądze, więc niech się głupi strzegą. Amiś! chodź synku! Podły ten Szczygielski, taka pyszna poręba. – Kopnął psa z gniewu, bo straszny żal nim zatargał, że stracił ten na pewno przewidywany zarobek.

Odebrał z magazynu swój bagaż i naładował na plecy robotnikowi, za którym szedł krok w krok. Staś z okna kancelarii widział, że co chwila Świerkoski obmacuje rogoże i głaszczce. Widział go długo, jak szedł tym swoim krętym, wilczym chodem, rzucając dookoła nieufne spojrzenia.

– Chodź pan, podyktuję panu raport – zawołał Orłowski.

Staś przyszedł do pokoju zawiadowcy i czekał, bo Orłowski chodził wzdłuż pokoju, spoglądał w dwa okna peronu, to przez okienko kasowe, wychodzące na korytarz, wychylał głowę i nasłuchiwał.

– Siądź pan przy moim stoliku.

– Przecież...

– Nie przecież, bo tamtem, to stół ekspedytora.

Orłowski był zawiadowcą stacji i załatwiał czynności ekspedytora.

– Wszystko jedno chyba, skoro pan pełni obie służby.

– Przysięgam Bogu, że mnie pan irytujesz. Nie wszystko jedno, bo wiedz pan, że napiszemy raport na ekspedytora stacji Bukowiec – mówił zupełnie poważnie. Babiński ze zdumieniem spoglądał na niego.

– Panie, sam na siebie raport, co w dyrekcji powiedzą?

– To są głupcy. Porządek, przede wszystkim porządek i systematyczność, słyszysz pan? Gdybyś się pan trzymał tych zasad, nie zwracałbyś uwagi swojej zwierchności.

Staś opuścił głowę i wyrzucał sobie, że go zadrasnął: tyle razy postanawiał o nic nie pytać, ślepo tylko wykonywać rozkazy, i znowu nie wytrzymał.

– Pisz pan!

„Jako-że pełniący obowiązki ekspedytora st. Bukowiec swoim nietaktownem, a można powiedzieć i brutalnem postępowaniem przy sprzedaży biletów spowodował to, że pasażerowie zanieśli skargę do księgi zażaleń, którą przy niniejszem załączam, upraszam Wysoką Dyрекcję o ukaranie według uznania, a to w celu uniknięcia na przyszłość podobnych zajść. Jako jedyne usprawiedliwienie ekspedytora, tenże objaśnia, że zajścia owe miały miejsce podczas niebezpiecznej choroby jego córki, która go jakoby miała zdenerwować. Sądzę jednak, że tego rodzaju usprawiedliwienia pod uwagę brać nie można, bo nikogo, ani Dyрекcji, ani pasażerów, nie obchodzą domowe sprawy urzędników, które nie powinny mieć żadnego wpływu na ich czynności służbowe”.

– Ależ panie... – protestował Staś.

– Cicho pan bądź! Przysięgam Bogu, bez uwag, panie Babiński. Zapomniałeś pan, że się milczy wtedy, kiedy zwierzchność mówi – zawołał Orłowski.

Babiński zamilkł, przygryzając usta, znowu był zły na siebie.

– Dochodzi! – krzyknął posługacz przez drzwi.

II

Staś pobiegł do aparatu, a Orłowski na peron. Przypatrując się dosyć licznej dzisiaj publiczności, witał się z jakimiś paniami, za którymi w przyzwoitem oddaleniu chodził uliberjowany lokaj, ale, spostrzegłszy doktora, zwrócił się do niego i przywitał w milczeniu; raportem skinął, dzwonek zadźwięczał, rozległa się gwizdawka prowadzącego, a później maszynisty, i pociąg ruszył dalej.

– Czekałem na ciebie niecierpliwie, przysięgam Bogu, dobrze, żeś przyjechał. Jance jest lepiej, ale zobaczysz i to powiesz mi, bo ja przypuszczam tylko, że lepiej, a nie wiem. Pójdiesz zaraz do niej?

Doktor skinął głową potakująco, bo na ustach miał respirator, który mu bladą, długą i chudą twarz przecinał na dwoje czarną wstęgą; olbrzymie, głębokie kalosze ledwie ciągnął z nogami, ugiął się pod futrem, na które miał narzucony płaszcz gumowy, i pod grubym kraciastym pledem, przykrywającym mu ramiona. Szedł wolno po schodach, odpoczywał i odpinał co stopień jeden guzik u płaszcza i jeden u futra. Nie rozebrał się w przedpokoju, tylko wszedł do saloniku i zaczął oglądać i próbować okien, drzwi i lufcików, czy są dobrze pozamykane.

Orłowski już z przed kotary, zasłaniającej drzwi pokoju, w którym leżała Janka, zawrócił i poszedł do służącej.

– Niech Janowa powie panie Janinie, że doktor przyjechał. Czy przyjąć może?.. Zaczekaj chwilę, służąca ci zaraz powie – zwrócił się do doktora, który z pomocą Rocha, stacyjnego popychadła, rozbierał się z niezliczonych okrywek. – Pójdę na chwilę do kancelarii. Przyślij po mnie, jak skończysz.

Okręcił się kilka razy po pokoju, popatrzył na doktora, szybko podniósł koniec brody do ust, strzepnął ją, wrzucił ramionami i wyszedł.

– Panie Babiński, napiszemy raport. Niech teraz sam od siebie broni się ekspedytor.

Zaczął dyktować Stasiowi, ale co chwila przerywał, stawał na środku pokoju, przygryzał brodę i wsłuchiwał się chciwie w słabe, zaledwie dosłyszalne, odgłosy kroków na górze, bo pokój chorej był tuż nad kancelariją. Słyszał, a raczej czuł, że doktor usiadł przy łóżku, bo jakieś słabe drgnienie przebiegło sufit; zmąciły mu to wyczuwanie dźwięki fortepianu, które się rozlegały bardzo głośno.

– Cicho tam! – krzyknął z gniewem, tupiąc nogą.

Staś uśmiechał się – przecież grająca przez sufity usłyszeć nie mogła; ale pochylił głowę nad papierem, bo Orłowski znowu zaczął dyktować i, nie skończywszy, pobiegł do mieszkania, słuchał chwilę pode drzwiami i szedł znowu na peron, spacerował po nim, nieznacznie spoglądając na okna.

Doktor skończył rozbieranie się, przyczesał siwawe włosy i zapukał do chorej.

– Proszę! – ozwał się dźwięczny, silny głos.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz, gdy wchodził do pokoju. Podniósł stopy do połowy, opatrzył znowu, czy okna i lufciki domknięte, i dopiero usiadł przy łóżku.

– Jakże się pani czuje? – pytał cicho, odjąwszy respirator.

– Dobrze, chciałabym wstać – odpowiedziała, zadrżawszy, gdy dotknął chłodną dłonią jej ręki. – Tak koniecznie chciałam widzieć doktora, że miałam już pisać dzisiaj – mówiła jakimś dziwnym, prawie altowym głosem, który się jej chwilami przerywał i chrypiał niemile; wtedy przestawała mówić, oddychała głęboko, i głos powracał, ale w wielkich, czarnych oczach migotał ból wysiłku. Uniosła się nieco, skręciła w grecki węzeł całą masę przepysznych rudawoblond włosów, rozsypanych niby snop dojrzałej pszenicznej słomy po pościeli, i mówiła: – Czuję się zupełnie zdrową. W gardle tylko i w piersiach doznaję jeszcze chwilami piekącego bólu, no i głosu mi często brakuje, ale czuję, że się to coraz rzadziej zjawia. Tak, jestem zdrowa, ale się nudzę straszliwie. Doktor zostanie na obiedzie? Mam prośbę do pana... – szepnęła ciszej, i fala krwi przyciemniła na mgnienie jej kredowo-bladą twarz.

– Zostanę, zaraz pani służyć. – Wstał i poszedł do kuchni; oczy Janki biegły dotąd za nim, aż zniknął za drzwiami, i gdy po chwili wrócił, zawisły mu badawczo na twarzy.

– Kazałem dawać obiad wcześniej, żeby zdążyć na pociąg – usprawiedliwiał się, siadając. – Jeszcze raz zbadam panią dokładnie, ale jednocześnie mogę słuchać...

Janka spojrzała na niego z wdzięcznością, bo nie miałyby odwagi powiedzieć mu swojej prośby, gdyby czuła jego przenikliwy wzrok na sobie.

Doktor opukiwał ją, oglądał, pytał o niektóre szczegóły, takie, że Janka odwracała mimowolnie twarz do ściany, przycinała usta i odpowiadała cicho, że ledwie dosłyszał. Konsultacja trwała długo, bo badał chorobę sumiennie.

– Czy ojciec wie wszystko?... wszystko?... – powtórzyła cicho.

– Zdaje mi się, że nie. – Wyprostował się, żeby odetchnąć i obrzucił ją spojrzeniem, pod którym oczy jej pociemniały i pochyliła głowę niżej.

– Czy powinien wiedzieć? – pytała wolno, z trudem hamując wzruszenie. – Pana się radzę, jako naszego najdawniejszego i najlepszego przyjaciela, który mnie zna od dziecka, a zrobię tak, jak mi pan poradzi. – Milczała dosyć długo, kąty ust zaczęły drgać w jakimś bolesnym ściągnięciu. – Nie chciałabym kłamać, co bądźby później nastąpiło, powiedziałabym, ale... boję się... On mnie nienawidził i nie miał racji, ale gdyby, gdyby wiedział teraz o wszystkim, to... – zacisnęła kurczowo palce, głosu jej brakło, przycisnęła ręką pierś, bo ten zwykły, piekący ból rozgorzał w niej niby zarzewie i palił straszliwie: dyszała ciężko, ale po chwili cichym a szorstkim z powstrzymanego wzruszenia głosem, ciągnęła dalej: – mnie ojca żal, bardzo mi żal.

– To dobrze; on panią kocha, po warjacku może, ale ogromnie.

Olśniła ją nagle myśl jakaś gnębiąca.

– Czy ojciec zupełnie jest zdrow? – zapytała prędko i wpiła się oczyma w doktora.

– Nie... i dlatego trzeba go oszczędzać, nie wzburzać, bo...

– Co? powiedz pan otwarcie; jestem dosyć silna na usłyszenie pełnej prawdy, a nie tylko pragnę jej, ale potrzebuję ją usłyszeć koniecznie. Tyle przypuszczam, tyle symptomatów dziwnych, prawie przerażających widzę, że boję się o niego.

– Tak, dobrze nie jest, bo jego despotyzm, zaciekłość i ta pewna dwoistość, na którą rozłamuje go powoli ta dwoista służba, jaką pełni... Mówili mi w wydziale o jego raportach...

– Czem się to wszystko może skończyć? – zapytała przerażona, bo doktor umilkł i odwrócił od niej twarz.

– Nie wiem, wiem tylko, że nie trzeba nic mówić, nic – powiedział krótko.

– A jeśli będzie chciał wiedzieć? – zapytała twardo, jakby już chciała rzucić całą prawdę w oczy.

– I wtedy powinna pani nie mówić nic. Prawda jest czasami zbrodnią, bo tak samo zabija. A jeśli ojciec nie obchodzi panią nic, to trzeba powiedzieć, zabije go to od razu i będzie pani miała później spokój i rozwiązane ręce. – Mówił prędko i gniewnie, nałożył zaraz respirator na usta i rzucił się na krzeselko.

Janka patrzyła długo na niego, po jej pięknej, wychudzonej i zmizerowanej twarzy przewijały się najrozmaitsze uczucia: to ból, to gorycz przypominań, to niepokój i trwoga, to głęboka, ciężka apatia powlekała jej twarz, a oczy zaczynały świecić posepnie pod ciemnymi brwiami jakimś ogniem rezygnacji.

– Co pan myśli o mnie? – zapytała wreszcie. Zapragnęła usłyszeć ciepłe słowo pociechy i przebaczenia, i współczucia; była gotową otworzyć serce, dać ujście dręczącym ją uczuciom, bólom i skargom; pragnęła teraz, w tej chwili, rzucić się na piersi czyje i na nich wypłakać wszystkie nędze całego życia, cały nagromadzony żal. Czuła się tak słabą w tej chwili, bezbronną, a skrzywdzoną, że płacz byłby sprawił jej radość i ulgę; ale doktor długo milczał, pociągał się za nos, przyglądał włosy, patrzył w okno, wreszcie odjął respirator, ścisnął jej dłoń i powiedział:

– Że jesteś nieszczęśliwa, że mi cię, pani, tak żal, jak córki własnej.

– O!... doktorze... o! doktorze... – Nie mogła nic więcej powiedzieć, oczy zasły jej łzami, przycisnęła jego rękę do ust i opadła na poduszki bezwładnie, tylko łyzy, jak jasne, drogie, wyhodowane przez cierpienia perły, posypały się z oczu – i taki nagły a wielki rozlew żalu poczuła w sobie, że nie widziała wychodzącego doktora, że nie słyszała nic i nic nie pamiętała. Leżała bez ruchu i prawie bez przytomności; w każdym swoim atomie czuła łyzy i niewypowiedziany ból, co przepalał ją całą.

Ocknęła się wtedy dopiero, gdy służąca na małym stolyczku, przy łóżku, postawiła obiad.

– Niech Janowa zabierze zpowrotem, nie chce mi się jeść.

– Adyc ode wczoraj ani krzynki panienska nie zjadła jeszcze. A kto to słyszał tak się morzyć głodem. Adyc i ja, panienko, niezdrowa, o nie!... w dołku mnie cosik tak ściska, że jaże mnie mroczy. – Spuściła story, odniosła obiad i znowu zaczęła narzekać bolejącym głosem. – I na to bolenie żadnego leku niema, a możeby się to lekarstwo zdało, co panienska używa?

– Niech się Janowa wódki napije, to zaraz przejdzie choroba.

– Wódki!... a prawda, panienko. Wódki! a widzieliście moi ludzie! wódki! a to się przed dobrodziejem odrzekłam, bo to i moja pani córka tego chciała, ale że panienska rzekła, że pomoże na ściskanie, to juści być prawdą musi.

– Niechże Janowa idzie sobie – zawołała zniecierpliwiona.

– Idę! idę... tak samo nieraz mówi moja pani córka. Idę! idę... wódki! aby ino *kusztyczek* niewielki i na lekarstwo, to grzech być nie musi. – Wyszła, i zaraz rozległ się skrzyp otwieranego kredensu i szcęk szkła.

Janka nasłuchiwała słabo brzmiących odgłosów rozmowy w saloniku, prowadzonej przez ojca.

Doktor zjadł obiad, nie czekając na Orłowskiego, który przyszedł pod koniec dopiero i rozpytywał o Jankę.

– Zupełnie dobrze, może wstać, zresztą wszystko, co potrzeba robić i używać, tutaj napisałem, masz kartkę.

Orłowski chciwie przebiegał oczyma przepisy.

– Dobrze jest, ale nie krzycz na nią, nie warjuj, bo recydywa dla niej, to śmierć – mówił doktor, a widząc, że twarz Orłowskiego czerwienieje, że zaraz wybuchnie gwałtownym tonem sprzeczeki, założył respirator na usta i usiadł przy stole.

– Ja ją zabijam, to przeze mnie chora? krzycząc na nią, co?

– Daj spokój, bo w wielkiej części winieneś wszystkiemu – napisał doktor na kartce ołówkiem.

– Więc i ty mówisz, że ja winieniem, że ja! – zakrzyczał Orłowski i, zmiąwszy kartkę, rzucił ją na ziemię, rozdeptał, kopnął i stanął na środku pokoju z rozłożonymi rękoma, jakby chciał głośno zaprzeczać, ale usiadł gwałtownie przy oknie, zaczął bębnić po szybach, otworzył lufcik i krzyknął do robotnika, stojącego na peronie.

– Sygnał od Strzemieszyc, nie słyszałeś, bałwanie, że osobowy wyszedł! – zamknął z trzaskiem lufcik, powrócił na dawne miejsce, zapalił papierosa i natychmiast ze złością go rzucił w piec i zaczął chodzić; po twarzy przelatywały mu jakieś płomienie, targał brodę, poruszał ramionami, zataczał oczyma niespokojnie, ale omijał twarz doktora.

– Nieprawda! Co tylko robiłem, jak postępowałem z nią, wszystko miało na celu jedynie jej dobro. Nieprawda, a tak! – wołał podniesionym głosem, uderzając w stół pięścią.

– Dla jej dobra wypędziłeś ją z domu? – napisał doktor.

– Wypędziłem?... tak, prawda... – jęknął Orłowski, rzuciwszy okiem na kartkę, i jakby go te słowa uderzyły i olśniły, cofnął się, spojrział mętnie i usiadł cichy i zgnębiony.

– Prawda! – dodał ciszej nieco, i tak żywo przypomniał sobie tę scenę nieszczęsną, która tutaj, w tym samym saloniku, rozegrała się parę miesięcy temu, że przygasłem spojrzeniem powiódł dokoła i pochylił głowę, nie mogąc znieść surowego spojrzenia doktora.

– Ty jej nie znasz! – mówił znowu, wstając i chodząc wolno, i przystając mgnieniowo przy drzwiach. – Opowiem ci krótko. Na wiosnę oświadczył się jej Grzesikiewicz, znasz go, człowiek zupełnie porządny i bogaty.

– I cham zupełnie, chociaż zewnętrznie ogładzony wykształceniem – napisał doktor.

– Mniejsza. Nie chciała iść za niego, tak się uparła, że nie pomogły prośby moje, powiedziała, że nie, i postawiła na swoim.

– Miała rację, bo go nie kochała.

– Miłość, co to takiego? głupstwo! – machnął pogardliwie ręką – nie dlatego: tylko chciała mi zrobić na złość, chciała postawić na swoim, i postawiła.

– A tyś także chciał postawić na swoim i zmusić! – pisał szybko doktor i podsunął mu kartkę.

– Tylko jej nie zmusisz! Być może, uniosłem się, no, może w rozdrażnieniu sprawiłem jej przykrość, ale czy powinna była zaraz, natychmiast uciekać z domu, powinna była, pomimo wszystkiego, co zaszło pomiędzy nami, porzucać mnie, ojca, dom? I poco? aby wstąpić do teatru!.. słyszysz, córka porządnego domu, moja córka, do teatru, do teatru! – powtórzył z przyciskiem.

– Wypędziłeś ją, musiała coś zrobić z sobą.

Orłowski aż skoczył, przeczytawszy te słowa.

Oczy mu latały w orbitach, broda i usta trzęsły się od gwałtownego wzruszenia. Zaczął przygryzać brodę i biegać po pokoju wkółko, jak zwierzę w klatce, potem usiadł zpowrotem na fotelu, aż sprężyny zatrzeszczały. Zapanowało chwilowe milczenie; przez okna przedzierał się brzęk przekładanych na stacji szyn, w szyby pluskał deszcz z dawną monotonią, a głuche, jednostajne dźwięki fortepianu sączyły się przez ścianę i rozpylały w powietrzu. Doktor spokojnie siedział i śledził muchy, marne, ostatnie, jesienne muchy, łączące leniwie po białym obrusie.

– Wypędziłem... ale ona poszła, ani się obejrzała, poszła i ani mi słowa jednego nie powiedziała na pożegnanie, poszła do teatru, na komedjantkę, pomiędzy bandę łobuzów i ladacznic, rzuciła mnie, ojca, dla nich... A niegodziwa, niegodziwa, niegodziwa! – syczał i targał sobie mundur na piersiach i dygotał cały. – Wypędziłem... a ona przez cały czas nie napisała do mnie nawet słowa jednego! Cztery miesiące! Dobrze, że jesteś kawalerem, dobrze, że nie masz dzieci, nie znasz więc tych cierpień, jakie sprawiają one ojcom... Cztery miesiące sam, w trwodze ciągłej o nią, otoczony upokorzeniami, a!.. a!.. – Gniew zatkał mu gardło, że słowa przemówić nie mógł.

– Trzeba było jechać po nią, przebaczyć i zabrać do siebie – napisał doktor.

– Ja miałem jechać, prosić, upokarzać się przed nią, ja?! – krzyczał, uderzając raz po raz zaciśniętą pięścią w piersi, aż dudniło. – Ja? nigdy, niechby mnie raczej djabli wzięli!

– Ciebie nie wzięli, ale ją przez to wzięli!

Orłowski przeczytał, milczał długo, ukrywszy twarz w dłoniach.

– Ja czekałem, że przecież odezwie się w niej córka i powróci – mówił przejętym łzami głosem; – czekałem choćby listu, myślałem, że napisze o pieniądze, bo ona tam nędzę cierpiała, byłbym rzucił wszystko, i na pierwsze jej słowa pojechał i przebaczył, bo przecież to dziecko jedyne moje, a ja nie mam nikogo prócz niej, i jestem stary, bardzo stary, a starość samotna jest gorzką, o jak gorzką, tego ci powiedzieć nawet nie mogę; zresztą, pocóżbym żył, gdybym nie mógł żyć dla niej? Dwa tygodnie temu dostaję z Warszawy telegram, patrz, noszę go przy sobie: „Panna Orłowska chora. Szpital Dzieciątka Jezus. Prosi o przyjazd. Głogowski”. Pojechałem. Zastałem ją nieprzytomną. Otruła się, wiesz o tem, boś ją później ratował i uratował, ale dlaczego to zrobiła, nie wiem do dzisiaj.

Doktor spozjrzał na niego z pod czoła.

– Odzyskałem ją i traciłem. Byłbym sobie palnął w łeb, gdybyś jej nie uratował. Na złość mi to zrobiła, tak, na złość, żeby mnie zabić, a łajdaczka, łajdaczka!.. – krzyczał prawie i gryzł ręce, szarpał mundur i rzucał się jakby w paroksyzmie obłędu. Uspokoił się po chwili, pozapinał mundur na wszystkie guziki i naciągał machinalnie białe rękawiczki.

– Musisz wiedzieć, dlaczego się truła, przez kogo – mówił spokojnie, ale głos mu drżał i oczy świeciły ponuro. – Powiedz otwarcie, wszystko... tak, wszystko przebaczę jej, ale jeśli tam jest winien

człowiek jaki, zabiję, tak mi dopomóż Boże i wszyscy święci! – wymawiał wolno przez błyskające zęby.

– Nie, nic nie wiem – powiedział śpiesznie doktor, zdjawszy respirator – wiem tylko, że się bała powrócić do ciebie. Co chcesz, to twoja córka i tak samo gotowa jest raczej złamać się, niżli zgiać. Pogódźcie się, to wam obojgu na dobre wyjdzie. Ona cię kocha, ale jeśli chcesz to usłyszeć sam z jej ust, musisz i ty ją kochać. Poco wy się męczycie, poco?

– Poco? prawda! tyle lat, tyle cierpień...

– Pociąg dochodzi! – zawołał posługacz, wsadzając we drzwi głowę.

– Poco! – powtórzył Orłowski cicho, ucałował doktora i wybiegł śpiesznie.

Doktor poszedł do Janki, ale, że nie spostrzegła go natychmiast, cofnęła się i zaraz odjechał. A Janka zapadła w stan dziwnego odrętwienia, w którym się czuje, słyszy, widzi nawet, tylko się nie wie.

Pod czaszką czuła jakąś wielką próżnię, w której rozbrzmiewały echami odgłosy życia zewnętrznego, niezrozumiałe i niepojęte. Patrzyła w głąb nieokreśloną i kilkakrotnie odruchowo powtórzyła słowa doktora:

– Prawda czasami jest zbrodnią, bo zabija tak samo.

I wolno zaczynała później snuć konsekwencje takiego wyznania aż do końca, i cofnęła się, blednąc, opuściła się bezwładnie w sobie, i ostry, przejmujący ból gryzł ją w serce. Nie można – myślała – musi się kryć z przeszłością, musi strzec słów własnych, pilnować się, ukrywać, grać rolę wstrętą obłudnicy. – Ona musi ukrywać coś przed ludźmi, wstydzić się! ona! co niedawno byłaby wyzywała do walki świat cały, ona, co tak dumnie i pogardliwie traktowała błąd wszelki i słabość wszelką, która prawie nie rozumiała, że ona może zrobić coś takiego, z czemby musiała się kryć, bo wszystko robiła świadomie, jak człowiek, który wie, co robi – i teraz, teraz! kryć się musi, udawać, grać komedję – i musi tak robić, a nie inaczej. – Oczy jej pociemniały łzami złości bezsilnej, buntem przeciwko temu jarzmu narzuconemu; jej gwałtowna natura zrywała się w energicznym proteście przeciwko obłudzie, jaką odtąd żyć musiała.

– Toby ojca zabiło... Tak, tak... – powtarzała ciężko, coraz wolniej, i głęboka litość, pełna bolesnego współczucia, budziła się w jej sercu, ale równocześnie dziwiło ją to uczucie, dziwiło ją, że we własnym sercu znajduje coś, jakby miłość do tego, którego, jak się jej zdawało, nienawidziła, do ojca, który ją tyranizował i męczył lata całe, który ją wygnał z domu. O, jeszcze dzisiaj, teraz, poczuła ból tamtej, przeszłej chwili; odnowiła się rana, którą kiedyś wpłynęło całe morze nienawiści. Zapatrzona w mrok pokoju, powtarzała: Precz! precz!.. i czuła, że ją taki sam kurcz trwogi i bólu ściska, jak wtedy, kiedy ją temi słowami wyganiał na zawsze z domu. – Jestem w tym samym pokoju, pomimo wszystkiego – myślała, rozglądając się i jakby budząc z przykrego uczucia. – Mam go oszczędzać poto, ażeby mnie znowu wypędził, gdy mu się w czem sprzeciwię... Nie miała w sobie odpowiedzi innej, tylko powtarzała ją, krzepiąc się wół świadomie do odebrania przyszłego ciosu.

– To pójdę, pójdę w świat! – powtarzała bezmyślnie i, przez jakieś skojarzenie dziwne, zaczęła się w niej budzić przeszłość niedawna, wiązała bezwiednie dzisiaj z dniem onegdajszym, bo wczoraj tkwiło w niej szarą, niewyraźną plamą. Zadrzała, bo się jej wydało, że leży w tym samym hotelu, w którym się otruła, że to teraz, mgnienie temu, wypija truciznę i czeka śmierci, że się przeważa całą duszą wtył i leci z jakimś niemym, okropnym krzykiem trwogi w głąb, w noc, w nicość – przymknęła oczy, wir myśli rozprężonej zakłębił się w jej mózgu, czuła, że się stacza i nie ma ani sił, ani woli do zatrzymania się na pochyłej drodze, że ta pamięć bólów przeszłych, wszystkich, jakie kiedy bądź przecierpiała, przesycę męką niewysłowioną; zaciskała zęby, mocowała się z sobą, żeby nie krzyknąć i żeby nie oszaleć, żeby to słabe tętno świadomości, jakie czuła jeszcze, nie przerwało się. Otworzyła oczy po długiej chwili tak ciężko i tak zdziwiona, jak hipnotycy, i ostre światło myśli i zupełnej przytomności orzeźwiło ją natychmiast.

– Jestem w Bukowcu, u ojca! tak samo jak dawniej, jak przed czterema miesiącami, i jak dawniej, życie ma być bez celu, z dnia na dzień? Nie powiedziała: nie, ale głębokim, prawie

nieświadomym ruchem myśli przeczyła i czuła, że jużby tak samo żyć nie mogła, że jej życie ma teraz nowy etap, że pierwszy skończył się w dniu wyjścia z domu i wstąpienia do teatru. Całą przeszłość dwudziesto-dwuletnią, czasy dzieciństwa, czasy szkolne, kilka lat ostatnich, spędzonych razem z ojcem, te marzenia, wyczekiwania przyszłości innej i niepodobnej, szalone żądze duszy, szamocącej się w szarym bycie córki zawiadowcy, walki indywidualności, szarpiącej się w jarzmie wegetacji prowincjonalnej – walki z ojcem, wstrętne, marne, a okropne przez swoją tragiczną ciągłość – wszystko to staczało się w przeszłość, w noc, w której zaledwie kontury doniosłych niegdyś zdarzeń widziała teraz. To ostatnie czteromiesięczne życie w teatrze zaczęła rozsnuwać we wspomnieniu. Patrzyła zimno w tę przeszłość niedawną, przypominała sobie teatr i ludzi, w najdrobniejszych szczegółach, i jego nędza z farsami tragicznymi, i twarz jakaś piękna i cyniczna zaczęła się wyłaniać coraz natarczywiej z pamięci i przysłaniać wszystko. Wzdrygała się, jakby pod dotknięciem płazu zimnego i oślizgłego – i w gwałtownym uczuciu złości, nienawiści szalonej, zacisnęła kurczowo dłonie, oczy strzeliły płomieniami, uniosła się, jakby chcąc wstać, iść i mścić się za krzywdy swoje... ale roześmiała się sucho.

– Głupia! głupia! głupia!.. – szepnęła z nienawiścią do samej siebie, przypominając tego kochanka, marną kreaturę, nędznika, do którego czuła większą pogardę niż żal.

– Jak ja mogłam! jak ja mogłam! – myślała z palącym wstydem i uprzytomniała go sobie w całej jego nikczemności i głupocie tak dokładnie, że gryzła poduszkę, aby przytłumić gniew na samą siebie, że chciało się jej krzyczeć, aby ulżyć sobie, żeby wyrzucić ten ogrom nienawiści i wstrętu, jaki się w niej zebrał.

Zadzwoniła na Janową. Nie mogła wyleżeć dłużej. Poczuli się zdrową, zapragnęła pod wpływem tych przejść wewnętrznych ruchu gwałtownego, powietrza, ludzi i przestrzeni. Dusza jej rozbłysła oślepiającym ją samą płomieniem energii, który podrywał, przepalał i unosił.

– Zimno dzisiaj? – zapytała Janowej, pomagającej jej ubierać się.

– A zimno, adyc kiej pies tak gryzie. Panienko! a panienska wie, że dzisiaj był pan z Krosnowy? Szłam, a on mię pyta: Janowa! Grzecznie się ukloniłam i słucham. A on wąsiki se podkręca i rzeknie: A panna Janina już wstała? – powiadam, a juści że nie, a on chlasnął bacikiem konia i powiada: A niech się Janowa kłania paniencie ode mnie. Grzeczny pan...

– To Janowa zna pana Grzesikiewicza?

– Za pozwoleniem panienci, ale my z jego matką... panienska się gniewać nie będzie, co?

– Nie nudcież, mówcie prędzej.

– A tośmy z jego matką, za pańszczyzny, razem chodziły do roboty do dworu.

– Janowa z jego matką? – zapytała dotknięta nieprzyjemnie.

– A juści. Ony są teraz wielkie państwo, pan Bóg im poszczęścił i zostały szlachta, a ja sługuję, jak służywałam. A niechta, moja panienko! a niechta Pan Jezus da wszyckiemu narodowi dobra po zęby, to i biedny się pożywi prędzej. A Grzesikiewicz dobrzy ludzie; że tam stary lubi się kiejś niekiejś napić krzynkę, toć nie grzech, bo majątek robi, a ona taka dobra kobieta, że szukać lepszy, a pewnikiem się nie znajdzie. Przecież ja, no cóż, ja... prosta kobieta jestem, na wyrobku, a jak tam pójdę, to mnie ugości, kiej równą, a przecież ony ziemi mają z tysiąc włók, a taka szlachta wielka! Druga toby nie chciała i patrzeć na mnie, a ta i gada ze mną to o swoim Jędrusiu, to o Józi! Ja i powiadam o swoi pani córce, to znowu ugotować każe wódki z tłustością i częstuje... dobra kobieta.

– Janowa ma córkę?

– Mam panienko! Oho! moja pani córka jest teraz pani! Wzieny ją te warsiawskie państwo, co to do Zwolenia przyjeżdżają co lato, do siebie. Dzieci nie mają, i jak zobaczyły moją Anusię, tak się im spodobała, że nie mogłam się oprzeć i dać ją dałam, bo jakże... miałam dziecku los zagrozić?.. Teraz je we klasach i na takich wielgich, jak dobrodziej, księgach se czyta, a uczona taka, że po zagranicznemu już gada. – Mówiła z dumą naiwną.

– Często ją widuje Janowa?

Janowa nie odpowiedziała zaraz, otarła nos i oczy zapaską, pokręciła się bez celu po pokoju i dopiero, rozczesując włosy Jance, mówiła:

– Nie można często, bo zimą je we Warszawie, a latem, jak są w Zwoleniu, to Anusia mówi, że się państwo gniewają, jak przychodzić często, i że się przeszkadza w uczeniu. Ciężko mi nieraz, bo chciałoby się człowiekowi pogłaskać ją, przytulić, popłakać z uciechy, ale kiej nie można, bo to i dla niej nie honor, i sama nie śmiem, bo gdzie mnie się dotykać brudnymi rękami takiej pannicy w szlachetnym ubiorze, co wygląda jak jaka grafinia. Ale moja Anusia dobra, łoni dała mi całego rubla i chustkę, i materji na całe obleczenie. Spłakałam się i aż zaniesłam dobrodziejowi na msze, i krzyżem leżałam na jej intencję, za tę dobroć. – Mówiła cicho, i żyzy głębokiej radości szklily się w jej wyblakłych oczach.

Janka przyglądała się jej uważnie, bo nie tyle zajęło ją opowiadanie o córce, ile to, że razem z matką niedoszłego jej męża chodziła do roboty.

Kazała później poodstłaniać zupełnie okna i wyjrzała na świat.

Zmrok mętny, zielonawy, rozpościerał się nad lasami, deszcz ustał, ale wiatr się zrywał i trząsał drzewami, i prześwisływał po drutach telegraficznych z jękiem żalonym; zielone światła na stacyjnych wekslach migotały w szarości, niby kwiaty promieniejące.

Janka, wpatrzona w żółcące się nad lasami, nagie szczyty wzgórz, przypomniała sobie te dawne wycieczki w lasy, o takiej porze, i zapragnęła iść zaraz, ale, przeszedłszy przez pokój, osłabła, nogi gięły się pod nią, i czuła się tak wyczerpaną, że poszła do jadalni i usiadła. Janowa zapaliła światło i przyniosła jej cały stos gazet, ale nie mogła czytać, odsunęła płachty zadrukowanego papieru, wpatrzyła się w lampę i długo siedziała bez ruchu, słowa i myśli. Wyczuwała tylko przyjemność, że jest, że żyje, że zaraz, jak tylko zechce, może wstać i iść.

Orłowski, po zdaniu służby pomocnikowi, przyszedł, przebrał się w jakiś stary bez guzików mundur i siadł z drugiej strony stołu, nawprost córki. Janowa szykowała do herbaty.

– Niech się Janowa zapyta, może panienska zje befsztyk, doktor zalecił! – rzucił cicho z za gazety, prześlizgując się tylko spojrzeniem po twarzy Janki, która na to pytanie podniosła oczy na niego.

– Dobrze, niech Janowa usmaży – odpowiedziała Janowej, która powtórzyła dosłownie.

Orłowski błysnął zadowoleniem, położył pismo i sam zaczął z kredensu wystawiać na stół konjak, owoce, kieliszek, ciastka, konfitury, wina. Nie mówili z sobą, chwilami tylko łapali się oczyma i odwracali zmieszane twarze, lub powlekali je udaną obojętnością.

– Janowa!... nalewać herbatę – zawołał, zobaczywszy, że Janka się podniosła i idzie do samowaru.

Usiadła zpowrotem, ale uśmiech jakiś przemknął po jej ustach.

– Niech Janowa poprosi panienski, żeby się przed befsztykiem napiła konjaku, tak doktor zalecił.

Janowa już teraz nie mogła wykrztusić tego polecenia, tylko wytrzeszczyła oczy i patrzyła kolejno na nich ze zdumieniem.

– Jeszcze jeden kieliszek niech Janowa wyjmie z kredensu – powiedziała.

– Nie trzeba! – zawołał prędko. – Wypiję z tego samego, niech Janowa powie.

Janka nalała i podsunęła do niego. Zmarszczył się gniewnie, aby pokryć wzruszenie, zaczął chwycić brodę zębami, ale wypił wkońcu i, odsuwając kieliszek, rzekł:

– Niech Janowa podziękuje paniensce.

Janka, żeby zakryć twarz drgającą już śmiechem, podniosła szklanę i przyglądała się herbacie pod światło.

– Mętna, co? – zapytał się jej prosto, zerwał się i wyciągnął rękę po szklanę, ale usiadł natychmiast i przygryzł brodę. – Niech Janowa naleje świeżej herbaty! – powiedział surowo i zaczął gwałtownie mieszać swoją.

Milczenie zapanowało. Janka wolno jadła, a czując wzrok ojca na swojej głowie, podnosiła chwilami na niego oczy; wtedy on zatapiał swoje w szklance, albo nerwowym ruchem chwycił gazetę

i zasłaniał się nią, jak tarczą, aby znowu po chwili, gdy jadła w dalszym ciągu, śledzić każde jej poruszenie głowy i ust i całować ją oczyma.

– Niech Janowa naleje panience wina. Stare wino doktor zalecił – odezwał się, gdy Janka przestała jeść befszytk.

Po kolacji Janka nie wiedziała, co zrobić z sobą, czuła się znużoną i ociężałą, a nie śmiała iść do swojego pokoju, żeby ojcu nie sprawić przykrości; wzięła jakieś pismo i czytała, ale męczyło ją schylenie się i ugniatał w plecy drewniany tył krzesła – spostrzegł to Orłowski i przyniósł swój głęboki, wybity skórą fotel.

– Niech Janowa poprosi panienki, żeby usiadła w fotelu, będzie wygodniej.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, zakrył się śpiesznie gazetą, marszcząc brwi.

Za oknami wył wiatr, aż filiżanki drżały, a księżyc ukazywał się i znikał za szybko przebiegającymi chmurami. Cisza w pokoju panowała zupełna. Lampa płonęła jasno i rzucała smugi światła na ich głowy pochylone nieco; czasem zagrała trąbka dróżnicza na linji, lub pociąg z hukiem i szumem przebiegał przez stację, i tak ciężko, że dom cały drżał i szklanki szczękały w kredensie; wtedy Orłowski podnosił się, patrzył przez okno na czerwone światła, zakończające pociąg, i po jego zniknięciu siadał znowu do czytania.

Janka odłożyła gazetę, bo było jej niewygodnie czytać, położyła się prawie w fotelu i patrzyła na Janową, siedzącą w kuchni, zaraz przy drzwiach otwartych do jadalni, z pończochą w ręku. Stary Roch, posługacz stacyjny, klęczał przed kominem i kawałem sukna szorował rondle. Ten spokój, jakiś senny i ciepły, zaczął na nią oddziaływać kojąco. Czuła się dobrze w tem kole dobrobytu i życzliwości – i bezwiednie porównywała to z ostatnimi tygodniami w teatrze, pełnemi głodu, nędzy najstraszliwszej i cierpień. Przetarła ręką czoło, jakby chcąc odegnać przykre mary. Spostrzegł ten ruch Orłowski.

– Jeżeli panienkę głowa boli, to są proszki, niech się Janowa spyta!

– Nie, dziękuję, nic mi nie jest, czuję się zupełnie zdrową.

Rozrzewniła ją ta troskliwość i zdumiewała zarazem, bo po raz pierwszy jej doświadczała.

Orłowski zaczął czytać gazetę półgłosem z początku, a upewniwszy się, że ona słucha, czytał dalej już pełnym głosem, wybierając umyślnie najciekawsze rzeczy.

Była zdumiona i wdzięczna głęboko. Czuł to, bo się przysłonił gazetą, i w akcentach głosu drgało rozradowanie, modulował go, spieszczał, z usilnością wygładzał jego szorstkie brzmienia, żeby tylko jej nie razić, żeby tylko zechciała słuchać czytania jak najdłużej, bo sprawiało mu to nieznaną dotychczas radość.

Wieczór się ciągnął długo, a Janka, rozmarzona winem, ukołysana tą atmosferą pokoju, ciepła, łagodnych brzmień ojcowskiego głosu, usnęła. Spostrzegł to i natychmiast pocichu wyniósł się do swojego pokoju, zostawiając drzwi otwarte, żeby móc patrzeć na nią choćby zdaleka. Nie czytał, chociaż gazetę podnosił co chwila do oczu, bo litery mu się zmieszały i nie rozumiał, widział tylko ją. Wstrzymywał prawie oddech, bał się poruszyć na krześle, nie zapalał papierosa, żeby trzask zapalnika, lub dym nie zbudziły śpiącej. Siedział i patrzył na nią z głęboką czułością, i miał szaloną chęć iść i ująć w dłoń tę drogą głowę, i całować; o, teraz czuł w całej potędze, jak mu jest bardzo drogą, jak ją kocha. Serce mu biło wielką, ojcowską miłością. Już nie pamiętał nic z przeszłości. Czuł, że ją i dawniej musiał kochać, chociaż zdawało mu się, że nienawdził. Z jakimś uśmiechem głębokim myślał, że teraz jego życie będzie jednym pasmem szczęścia, i zaczynała się w mózgu formułować idea wyniesienia się z kolei, zamieszkania gdzieś w mieście z nią razem, i już się widział tam, już w myśli prowadził Jankę, wspartą na jego ramieniu, dumną i piękną, pomiędzy roje ludzi – i podnosił głowę coraz wyżej, i miał ochotę wołać: Patrzenie, to moja córka, moja! Z drogi wszyscy, z drogi! – rozmarzał się w szczęściu coraz głębiej.

W okna uderzał wiatr, i głęboki szum lasów płynął smutną pieśnią, czasem pociąg z hukiem przebiegał, a wszystko drgało i przyciszało się, senniło znowu. Z sąsiedniego mieszkania Zaleskich zaczęły przenikać ciche, przytłumione murami i odległością, dźwięki fortepianu i łąły

się nieskończoną, monotonna strugą gam, to buchały wrzawą zgiełkliwą rapsodji, albo śpiewały księżycowe hymny rozmarzeń, dreszczów nocy wiosennej, łkań, lub nuciły rzewną, prostą, a głęboką, jak wieczność, piosnkę miłości.

Orłowski słuchał tej muzyki w coraz większym zniecierpliwieniu i już się zerwał, aby iść i prosić o zaprzestanie, kiedy zobaczył, że Janka się przebudziła i szukała go oczyma. Poszedł prędko, ale podniosła się, nie zauważywszy go, i poszła do swojego pokoju.

– Janowa! niech Janowa powie dobranoc panience ode mnie – powiedział cicho do służącej i poszedł spać.

III

Janka źle spała tej pierwszej nocy po skończonej prawie chorobie.

Budziła się często i często jej się zdawało, że jest jeszcze w szpitalu. Widziała tę długą, białą, pełną łożek salę, w której niedawno leżała. Spoglądała na poprzeczną ścianę sali, tam, gdzie obraz Matki Boskiej, słodko i z miłością patrzący na chorych, poprzez żółtawe blaski oliwnej lampki. Pamiętała to spojrzenie, miała je w mózgu. Nieraz w te nieskończone, długie i okropne noce szpitalne, kiedy się budziła, biegła oczyma do tego obrazu, wisiała duszą u boskiego uśmiechu Królowej, piła słodycz i dobroć jej spojrzenia i długie, nieme, niewypowiedane modlitwy i skargi słała do niej.

Podnosiła głowę teraz i zdawało się jej, że słyszy jęki chorych, chrapliwe rżenia konających, że słyszy płaczliwe, żebrzące zmiłowania słowa modlitw, szeptanych spalonymi gorączką ustami. Przymykała oczy i leżała cicho, bez ruchu, w trwodze niepojętej; przyciszało się w niej życie i zawieszało na mgnienie, aby tę śmierć, którą czuła snującą się w szarych cieniach, którą prawie widziała, jak przemyka się pomiędzy łózkami i kościstymi palcami dotyka chorych, i świeci czarnymi, pustymi oczodołami, omylić, aby się jej wydrzeć podstępem choćby; albo zrywała się gwałtownie, siadała na łóżku, bo krzyk wielki, wstrząsający, rozdzierał boleśnie ciszę. Śmierć! – powtarzała zbladłymi ustami. – Śmierć! – i serce przestawało jej bić w dręczącym bólu strachu, rozpacz i oczekiwania.

Mary zmęczonego mózgu wysuwały szpony przypomnień i darły jej duszę strzępami uczuć gorzkich i bolesnych, przeszłymi nędzami, a tak okropnie, że niemal krzyczała ratunku.

Bukowiec, Bukowiec... powtarzała z uporem i tak długo, aż ten dźwięk zamienił się w obraz i w świadomość i wypędzał z pamięci wszystko, i zappełnił ją całą. Nie pamiętała znowu tych czterech miesięcy teatru; rozmyślała o nim jak dawniej, zanim go poznała, i jak dawniej zaczęła roić przyszłość, zapalać się, entuzjasmować, przerzucać od pewności zwycięstwa do zupełnej apatii i zniechęcenia, i jak dawniej gwałtowna jej dusza zrywała się do walki, do zdobywania szczęśliwości nieznannej, drżała namiętnem i niesformułowaniem pragnieniem życia wolnego, wyłamania się z wszelkiej zależności; i jak dawniej nienawidziła ojca, przymusu wszelkiego i wierzyła, że posiadzie to wszystko nieznanne a wielkie, czego pożądała, i jak dawniej szarpała się w męce i rozbijała o pręty klatki, w której los ją umieścił. Wreszcie wyczerpana usnęła i już nieprzerwanie spała do rana.

Obudziła się dziwnie rzeźwa i zdrowa. Wstała natychmiast i poszła do okna. Poranek był przepiękny, jeden z tych, jakie bywają czasami w październiku, pomiędzy dwiema serjami deszczów. Pożółkłe trawniki pokrywał szron, mieniący się w słońcu, które świeciło jasno i rozlewało potoki ciepła i wesela na czerwone liście buków, na rdzawe korony grusz, stojących w ogródku, na bladozłote, jakby z najczystszeo, nietopionego jeszcze wosku topole; na zielono-perłową ruń zbóż młodych, ciągnących się długim pasem, równoległe z szynami kolei; – odbijało się w kałużach wody, jakby w taflach z seledynu, rozłacało powietrze i te długie mury lasów stojących bez ruchu, zatopionych w jakiejś usypiającej ciszy. Drzewa zdawały się wolno oddychać i podnosić ostatnie pędy i nieopadłe jeszcze liście ku słońcu, i piły światło i ciepło. Wróble z krzykiem radosnym trzepotały się pod magazynem i jakby oszalałe ciepłem biły się zajadle, i całymi bandami obsiadały dachy, wieszały się na drzewach i znowu spadały ze świergotem na ziemię.

– Bardzo ciepło dzisiaj? – zapytała Rocha, który z mokrą ścierką w ręku suwał się na kolanach po pokoju i wycierał podłogę.

– Ciepło! e... panienko, ciepło je galante, ale i zamróż je też galanty.

Roześmiała się z tej odpowiedzi i zapragnęła ruchu, powietrza, poczuła w sobie dawną Jankę, silną i niezmożoną. Zaczęła się krzątać po pokoju i zapytała go znowu:

– Pan na służbie?

– Na służbie! e... juźci że na służbie, bo pan Zaleski pojechał dodnia na swej maszynie i nie wrócił, pan naczelnik go zastępuje.

– Na rezerwie pojechał?
– Na rezerwie! e... nie panienko, na taki maszynie, co to się siada na ni okrakiem i ino się kalikuje nogami, a ona się kręci sama; pan Zaleski ciągiem jeździ na niej!

– Bicykl.

– Biceg! e... juści, bo mi onegdaj na odwieczerzy pedział: Rochu, przyprowadź biceg z magazynu. Przyprowadziłem juche delikatnie kiej kunia, a on se skoczył na bicega tego i pojechał, a to kółeczko ino się lśniło.

Aż przymrużył oczy, tak sobie żywo przypomniał to lśnienie, i szorował dalej.

Janka zaczęła oglądać całe mieszkanie. Słaniała się nieco, nogi drżały pod nią, z uczuciem dzieciństwa uczyła się prawie chodzić i myślała, oglądając, że przez te cztery miesiące nic się tutaj nie zmieniło, tylko więcej niż zwykle kurzu leżało na meblach i fortepian był przykryty dywanem. Usiadła przy nim i otworzyła, ale nie śmiała uderzyć w klawisze, które się w tem ostrem świetle słonecznego dnia wydawały niby wyszczerzone zęby jakiejś czaszki trupiej. Pewien lęk niewytłumaczony powstrzymywał ją, czuła, że, uderzywszy, obudzi jakąś przeszłość, która ją znowu otoczy tumanami wspomnień bolesnych, bo sam widok już przypominał jej, że w tym samym saloniku oświadczał się jej Grzesikiewicz, i z tego samego saloniku ojciec ją wygnał z domu. Zimno ją przejęło, poszła do swojego pokoju, nie mając nawet odwagi zamknąć fortepianu. Usiadła w oknie i przyglądała się stacji.

Karaś, na maszynie rezerwowej, podciągał ładowne wagony pod rampę, i co chwila rozlegał się głuchy huk buforów, uderzających o siebie przy dojeżdżaniu. Świerkoski szedł z psem linją i stał chwilę przy robotnikach, rozkopujących plant i huczących oskardami przy podbijaniu podkładów. Jacyś Żydzi snuli się po rampie, na której leżały stosy worków ze zbożem, dziesiątki furmanek chłopskich zabierały węgiel z wagonów, słychać było zgrzyt żelaznych szuflki o węglarki, skrzyp wozów i poganianie koni. Orłowski chodził po peronie w czerwonej czapce i w białych rękawiczkach, co chwila spoglądając na nią.

Życie toczyło się dokoła po codziennej równi cicho i automatycznie prawie, a ona tak odwykła od niego, iż z pewnym zdziwieniem i przykrością patrzyła; zobaczyła, że ci ludzie poruszają się jakoś sennie, że się tutaj nie śpieszy nikomu, że tutaj nikt nie potrąca i nie prześciga drugich w pośpiechu; że gwar ustawiczny wysiłków, zgiełk, szamotanie się, ostra i wyczerpująca walka współzawodnicza nie istnieje tutaj, że muszą czuć mało i myśleć jeszcze mniej, tyle tylko, ile potrzeba było do roślinnego prawie życia, do zaspokojenia najpierwotniejszych potrzeb; że wszyscy mają w sobie coś z tej ziemi, odartej już z barw lata, smutnej i jakby zamierającej, szarej a silnej, z tych lasów wielkich; czuła w ludziach tę samą twardość, co w dębach, których potężne, rosochate korony, pokryte zrudziałymi liśćmi, miała przed sobą, po drugiej stronie stacji; ten sam smutek rezygnacyjny i nieświadomy, jaki był w wielkich brzożach, co świeciły białymi pniami z pośród ciemnych świerków; i tak samo ci ludzie zaczynali mowę i milkli nagle, jak las, który się rozkołysał, rozszemrał, rozchwiał niewiadomo dlaczego i milknął, i opuszczał się w zadumę, także niewiadomo dlaczego.

Chodziła po pokoju i myślała o takim cichem życiu, oddanem pracy i obowiązkom, o życiu tylko ciał i mięśni, uwięzionych w jarzmie potrzeb codziennych. Wzdrygała się. Nie, onaby nie mogła tak żyć i tak powoli, bez protestu i świadomości, staczać się do śmierci, tak rozmieniać się na nędzne prace codzienne, małe myśli, kręcenie się w kółku, niezmiernie gładko wyszlifowanem, ale niezmiernie ciasnem.

– Wyzdrowieć tylko zupełnie! wyzdrowieć jak najprędzej! – myślała, ale jeszcze nie miała odwagi nic postanowić, co z sobą zrobi później, po wyzdrowieniu. Czuła tylko, że przecież tutaj nie pozostanie. Przy obiedzie była mniej ożywiona.

– Czy dróżki w lesie bardzo rozmokłe? – spytała Janowej.

– Nie, panienko, byłam rano na rydzach, to sucho całkiem.

– Są rydze? – i pociągnęła nozdrzami, bo poczuła ich zapach.

Janowa przyniosła ich cały koszyk i pokazywała. Orłowski kręcił się niespokojnie po pokoju, chciał coś mówić, ale dopiero wychodząc po obiedzie rzekł do Janowej:

– Janowa powie panience, żeby się ubrała ciepło, jeżeli chce iść do lasu, ja przyślę pana Babińskiego, to z nim pójdzie, bo sama może się jeszcze zmęczyć.

Poszedł znowu na dół do kancelarii i bardzo serdecznie prosił Stasia o towarzyszenie córce na spacer, lecz w duszy był wściekły, bo sam miał ogromną chęć iść i prowadzić ją pod rękę, ale za nic w świecie nie byłby w stanie tego zaproponować. Żeby stłumić gniew, wyszedł na podjazd, który Roch zamiatał, i zaczął krzyczeć na niego:

– Niedołęga, przysięgam Bogu. Trzyma miotłę jak pióro! Słyszysz, co mówię! wszystkie liście zostają za tobą; jak zamiatasz, co?

– Zostają! e... nie, panie naczelniku! e... zamiecie się, zamiecie doczysta, będzie alagancko kiej w izbie – usprawiedliwiał się spokojnie i dalej zamiatał.

Orłowski miał już odejść, gdy go doszedł tętent konia; ktoś jechał lasem. Przysłonił ręką oczy, bo słońce raziło go, i, poznawszy jeźdźca, który wychylał się z lasu na bułanku z białą grzywą i ogonem, uśmiechał się radośnie.

– Roch! potrzyмай panu dziedzicowi konia! – krzyknął, gdy jeździec zeskakiwał na podjeździe.

– Dzień dobry! – skrzyżowały się powitania i ścisnęły się silnie dłonie.

– Panie Andrzeju, pozwólcie do mnie, na chwilę. Nie proszę na górę, bo... – zaciął się, przygryzł brodę i machnął ręką.

– Jakże zdrowie panny Janiny? – zapytał Grzesikiewicz, kiedy się już znaleźli w kancelarii.

– Dobrze, tak dobrze, że dzisiaj ma zamiar iść trochę się przejść.

– O! – szepnął Andrzej, i jego blade-niebieskie oczy pociemniały jakąś myślą, zaczął skubać niewielkie, jasne wąsy.

– Więc jest zupełnie zdrowa, co? – zapytał po chwili.

– Zupełnie. Doktor był wczoraj i mówił, że zupełnie. A bo niedosyć miałem trzy tygodnie ustawicznej trwogi, wiszenia pomiędzy życiem a śmiercią.

Mówił szorstko i w nagłym przypiływie uczuć chwycił coraz szybciej zębami brodę.

– Ja dawniej wiszę – szepnął cicho Andrzej, z jakimś ledwie odczutym akcentem bólu, i twarz mu pobladła, ale oczy natychmiast rozblęły dawną energią wytrwania i uporu.

– Cóż tam u was słyhać? kartofle kopiecie?

– Kończymy kopać; za tydzień chcę już zacząć odsyłać do gorzelnii.

– Rodzice zdrowi? ojca jakoś dawno nie widziałem.

– Mama zdrowa, a ojciec także zdrów, o zdrów! – roześmiał się sucho i trochę cierpko. – Nie zabieram panu czasu. Może pan zechce zanieść pannie Janinie pozdrowienie ode mnie, dobrze? – zakończył ciszej.

Orłowski spojrział bystro na niego, uściśnął mu ręce i powiedział:

– Dobrze, dobrze. A mamie ucałowanie rączek ode mnie.

Wyszli pod stację, i Grzesikiewicz odjechał galopem. Orłowski długo patrzył za nim, na jego rozrosłą, pochyloną nad karkiem konia postać.

– Szkoda, taki chłop jak dąb – myślał. – Szkoda! Żeby Janka chciała tylko... Może się to wszystko jeszcze dobrze ułoży... może teraz się zgodzi. Szkoda! – powrócił do kancelarii i zamyślił się głęboko.

Wszedł za nim Świerkoski, usiadł na kanapce, złamał się we dwoje, jak zwykle, i gonił oczyma po pokoju.

– Przyszedłem prosić pana o radę – zaczął, wsuwając ręce w rękawy.

– A owszem, owszem, jeśli będę mógł tylko.

Świerkoski zaczął mu obszernie opowiadać o interesie, jaki miał zamiar przeprowadzić, o dostawie trzystu sążni kamienia brukowego. Chciał się podjąć tej dostawy, bo obliczał, że można na tem zarobić w przeciągu dwóch lat około trzech tysięcy rubli. Rozsnuwał swoje plany i projekty,

zapalał się do tego zarobku, aż mu oczy świeciły chciwością i usta drżały nerwowo. Przedstawił to przedsiębiorstwo w najpiękniejszym świetle.

– Co ja mogę innego radzić, bierz pan! – powiedział Orłowski.

– Potrzeba kilku tysięcy rubli, żeby puścić w ruch interes, a ja tyle nie mam. Otóż przychodzi mi na myśl, właściwie przyszedłem, z nią: zaproponować panu spółkę w tem przedsiębiorstwie. Trzydzieści procentów od kapitału włożonego jest pewne.

– Przysięgam Bogu, a naco mi to! – Prawda, mam kilkanaście tysięcy rubli w papierach procentowych i na hipotekach, ale niełakomy jestem na wielkie procenty, wystarczają mi dotychczasowe.

– Cztery, pięć, no sześć procent najwyżej, ależ to śmieszne! szczególnie teraz, gdy można mieć trzydzieści. Gdybym ja miał taki kapitał, to ręczę, że w krótkim czasie podwoiłbym go i potroił. Puściłbym go w ruch, umieścił w interesach, niech się powiększa, niech robi dziesiątki tysięcy, setki, miliony. Niech płynie szerokim korytem, niech po drodze zbierze, co się da zebrać, niech potężnieje.

– Albo niech zginie bez śladu, bo i to się trafia – przerwał mu Orłowski.

Nie odpowiedział natychmiast Świerkoski, bo go olśniły własne słowa i projekty, a odmowa Orłowskiego przejęła go zimnem i żalem ogromnym, że te marzenia się nie urzeczywistnią.

Spojrzał na Orłowskiego ze źle pokrytym gniewem i nienawiścią.

– Widział się pan z tym chamem? – szepnął twardo.

– Z jakim chamem?

– No, z tym Grzesikiem – objaśnił drwiąco.

Orłowski rzucił się gwałtownie.

– Widziałem się z panem Grzesikiewiczem.

– Skądże on Grzesikiewicz! Grzesik, karczmarzski syn, wszyscy wiedzą o tem.

– Dobrze, ale poco i dlaczego pan mi to mówi? – zapytał gwałtownie Orłowski.

– Myślałem, że pan nie wie, chciałem ostrzec po przyjacielsku.

– Dziękuję, przysięgam Bogu, dziękuję, ale zupełnie dobrze się obywam bez takich wiadomości – mówił, biegając po pokoju, zirytowany.

– To się tak mówi: obejdę się, a jest inaczej zupełnie. Proszę pana, ludzie są podli i maskują się, aby wyprowadzić w pole takich, jak pan, a Grzesikowi potrzebne jest ukrywanie swego pochodzenia przed państwem. Ho! ho! gra on teraz rolę szlachcica, pana wielkiego. Tfy! chamczuk psiakrew – szeptał nienawistnie i splotał z pogardą.

– Panie Świerkoski, przysięgam Bogu, ale oszczędź mię pan, nie chcę słuchać więcej.

– Dobrze! Amis! do domu. – Podniósł się ciężko, jego trójkątna wilcza twarz pokryła się jakimś ceglany rumieńcem, głowa zaczynała mu drgać z hamowanego wzruszenia, a długie, chude, o bardzo rozwiniętych węzłach palce, podobne do pazurów, darły z wściekłością kożuch.

– Spółki pan nie chce? – zapytał już w progu.

– Dziękuję, zarabiam pan sam, prędzej się zбогacisz – rzucił mu szydlerczo Orłowski.

– O! o! pan szydzisz ze mnie – zawołał chrapliwie.

– Nie, panie, Świerkoski, ja życzę panu z całego serca zбогacenia rychłego.

Świerkoski wyszedł bez słowa, ale zaraz za drzwiami wyprostował się dumnie i podniósł zaciśniętą pięść. – Poczekaj! poczekaj – syczał. – Odbiję to wszystko kiedyś na tobie. Będziecie jeszcze się nisko kłaniać Świerkoskiemu, będziecie! – myślał, śpiesznie biegnąc do mieszkania. W pierwszym, pustym prawie pokoju, gdzie, oprócz łóżka zbitego z nieheblowanych, sosnowych desek, takiegoż stołu i ławeczki, nie było nic więcej, rozebrał się, włożył pantofle i stary szynel dróżniczy w miejsce szlafroka i tak przebrany poszedł do salonu, od którego klucz zawsze nosił przy sobie. Salon stanowił wielki kontrast z resztą mieszkania, bo był literalnie zapchany meblami bardzo wytwornymi i drogiemi. Świerkoski otworzył wewnętrzne okiennice i zabrał się do rozpakowywania wczorajszej przesyłki, jaką odebrał. Było to maleńkie, damskie biurczko, inkrustowane perłową

masą, prześlizgane cacko, zniszczone już i pokryte pleśnią wilgotnych składów, obejrzał je z radością, bo udało mu się kupić je bardzo tanio w jakimś pociejowskim składzie.

– Franek! herbaty! – krzyknął do kuchni i zaczął wolno cłapać pantoflami, zrobionymi ze starych kamaszków. Przystawał przed sprzętami, dotykał się z pieśczołą mahoniów lub palisandrów, gładził aksamity pokrycia, przeglądał się w wielkich zwierciadłach, zasnutych pajęczyną, bo nie było wolno Frankowi uprzętać, ani nawet zaglądać do tego skarbcza, okręcał głowę w jedwabne, brudne portjery, zasłaniające drzwi, albo na chwilę siadał na przepysznej, tylko nieco poplamionej otomanie, pokrytej wiśniowym w złote pasy aksamitem, o który omdlewającym ruchem kota obcierał policzki, przymykał oczy z rozkoszy, przeciągał się, ogarniał pokój dumnym spojrzeniem i szeptał: – Moje! moje!

– Franek! herbaty! – Pił szklankę za szklanką, palił papierosy jeden za drugim i rozmarzał się coraz bardziej. Zwinięty w kłębek na otomanie, jak Amis, który leżał w drugim końcu, otoczony kłębami dymu, przez który świeciły fosforycznie jego żółtawe, wilcze oczy, puszczał wodze marzeniom, pozbywał się codziennych trosk, zrzucił z siebie skórę zwykłą, znaną wszystkim, zostawiał gdzieś daleko tego Świerkoskiego, który nienawidził wszystkich: i tych, co byli dobrzy za dobroć ich, bogatych za bogactwa, biednych, bo mu byli wstrętni, pięknych dla ich piękna, szlachetnych, bo uważał ich za głupców, mądrych, bo drwił z mądrości, bo nienawidził tej mądrości, która wskazywała jakieś większe, piękniejsze cele w życiu, niż pieniądze, cały ten Świerkoski, który się wił ciągle w wiecznych pożądaniach nigdy niezaspokojonej ambicji i chciwości, zniknął, została tylko dusza, która już osiągnęła wszystko i tem wszystkim się rozkoszowała.

Chodził już w myśli po wspaniałych salonach, czuł się bogatym i podziwianym, uśmiech osiadł mu na wąskich wargach, wił się po twarzy i przenikał rozszerzone dumą serce jakimś olbrzymim przypiływem pychy i zadowolenia; jego niskie, wysunięte nad twarzą czoło idjoty, sfałdowane głębokimi zmarszczkami, zdawało się promieniować jakąś zieloną aureolą. Wyjął z pugilaresu dziesiątki losów loteryjnych najrozmaitszych krajów, porozkładał je przed sobą i zapatrzył się w wielkie szeregi cyfr, w sumy, jakie obiecywał wygrywać.

– Dwieście tysięcy rubli! – szeptał z głęboką czułością, rozwijając pożyczkę premjową. – Dwieście tysięcy rubli! – przeginał się jakoś lubieżnie, bo ten słodki dźwięk łaskotał rozkosznie po sercu.

– Trzysta tysięcy marek! – zdawał się szeptać różowy los loterii hamburskiej.

– Dwieście tysięcy marek! – śpiewało mu w duszy od błękitnego losu saskiego.

– Sto tysięcy florenów! – grzmiały czerwone węgierskie.

– Pół miliona franków! – rozległ się głęboki, poważny głos liljowego papieru z głową rzeczypospolitej francuskiej w pośrodku.

– Miljony! miljony! miljony! – szeptał, uśmiechając się słabo, i te miliony już czuł przy sobie, rozpałały mu krew, przenikały siłą potężną, rozprostowywały skurczoną w pożądaniu duszę, podnosił głowę coraz wyżej, oddychał głęboko, jakby wciągając słodki a denerwujący zapach tych pieniędzy, aby je wchłonąć w siebie, aby je czuć we własnej krwi.

– Miljony, moje miljony – skandował wolno razy kilkanaście z uporczywością idjoty i kretyna, olśnionego świecąca blaszką. – Moje – i nie pamiętał już nic, że prowadzi życie nędzne, że żywi się chlebem, kartoflami i herbatą, że oszukuje zarówno ludzi, jak i siebie, że dla tych urojeń poświęcił w życiu wszystko, że te losy kłamały, że oszukiwały go dwa razy rocznie, że przez nie umierał prawie z rozpacz, ponieważ nie padała na nie wielka wygrana – nic, nic już nie pamiętał, bo w najtajniejszej głębi jego istoty tkwiła niespożyta wiara w spełnienie się tych idjotycznych marzeń.

*

Orłowski poszedł na górę, był wściekły za odezwanie się lekceważące o Grzesikiewiczu: Cham! Grzesik! karczmarzski syn! – myślał, powtarzając ze złością słowa Świerkoskiego. – Tak, ale porządny

człowiek, wykształcony, dobry, bogaty. Co im do tego? Co to kogo obchodzi! – Dopiero po jakimś dłuższym czasie uspokoił się i zaczął rozmyślać, dlaczego tak Świerkoski mówił, co w tem miał za interes! Uderzył się nagle w czoło i kilka razy z rzędu schwycił brodę zębami. – Ach! on może myśli o Jance, zazdrość o Andrzeja żre go, a! rozumiem teraz, rozumiem. Mój panie Świerkoski! za małyś dla Orłowskiej, za mały – szeptał, uchylił drzwi do kuchni i zawołał:

– Niech Janowa powie, że pan Grzesikiewicz przesyła ukłony panience.

– Panie Stanisławie! – mówił do Babińskiego, zeszedłszy do kancelarji – córka już czeka na pana.

– Jestem gotów, tylko zechce mnie pan przedstawić, bo nie mam przyjemności znać osobiście szanownej panny Janiny – mówił Staś uroczyście, naciągając rękawiczki.

Zaprowadził go, przedstawił w dwóch słowach, nie patrząc na Jankę, i wyszedł.

– Ja czekałem tylko wyzdrowienia pani, aby przyjść z prośbą o pożyczenie książek do czytania – mówił Staś. – Takie nudy, takie nudy, że moi przyjaciele warszawscy są zdumieni, że ja wytrzymam tutaj.

– Pan niedawno w Bukowcu?

– Od trzech miesięcy, pani! – powiedział z tak komicznym ubolewaniem, że Janka roześmiała się: wydał się jej sympatycznym i zabawnym z tą różową cerą młodej dziewczyny i z tą nieśmiałością dziecinną, śmieszna przy jego brodzie i wysokim wzroście, i rozwiniętych ramionach. Robił wrażenie chłopaczka, ucharakteryzowanego na mężczyznę.

– Chodźmy, pokażę panu, że Bukowiec, chociaż nudny, brzydkim nie jest.

Podał jej rękę, gdy szli, ale się tak zarumienił gwałtownie, że odwracał głowę, aby tego nie spostrzegła. Prowadził ją z największą ostrożnością, bo nogi się jej plątały.

– Babiński, a uważaj pani – zawołał za nim Orłowski przed stacją.

– Czy do lasu pójdziemy?

– Tak, musiał go pan już poznać trochę?

– Nie. Byłem raz i zbłądziłem, a po drugie, mama mówi, że to niezdrowo teraz chodzić po lesie, za dużo wilgoci, więc niebezpiecznie, można się przeziębnić, dostać febry.

– O! pan się chyba o siebie obawiać nie powinien – powiedziała, obrzucając go spojrzeniem.

– Ba... właśnie, że muszę się pilnować, ciągle muszę pamiętać; mama mówi, żebym nie zaniedbywał, bo zwykle jedna choroba przygotowuje następną. – I zaczął obszernie opowiadać o środkach leczniczych, o wycieraniu się kamforą po każdym zmęczeniu, o obwijaniu flanelą do łóżka, mówił z całą naiwnością, a tak serjo, że Janka powstrzymywała się, aby nie wybuchnąć śmiechem.

– Ma pan dobrą mamę – powiedziała mu krótko, gdy skończył.

– O pani! myślę, że takiej drugiej niema na świecie – i znowu snuł tysiącne szczegóły o rozrzewniającej troskliwości matczynej, i pomimo nieśmiałości, z jaką do niej się zwracał, jaką miał w spojrzeniu niebieskich oczu, w ruchach, w uśmiechu – gadał i gadał niepowstrzymanie.

Nie odzywała się, nie słuchała go nawet; puściła jego ramię i szła środkiem dróżki leśnej, przemiękłym piaskiem, obeschłym tylko zwierzchu. Las nakrywał ich potężnie rozrosłymi konarami, tylko przez gałęzie błyskały kawałki bladego nieba i na mchach żółtawych, na skręconych, rudych i zeschniętych piórach paproci drżały miejscami złotawe blaski słoneczne. Suche szyszki, zwieszające się ze świerków niby pełne wrzeciona, spadały im pod nogi i w doły pełne zgniłej wody, w której odbijało się słońce. Nad strugami stały czarne olchy, albo biało-srebrnawe osiki trzepały listeczkami, pomimo zupełnej ciszy i spokoju, panujących w lesie. Potężny zapach żywicy, liści gnijących, surowizny, kory i ziemi przemiękłej unosił się po lesie. Janka błędziła w zadumie oczyma po lesie tak dobrze jej znanym, odnajdywała wszędzie znajomych: wielką górę skalistą i nagą, żółcąca się zrudziałymi głazami, jakieś wapienne zbocza, po których się pięły, niby wyciągnięte szpony, długie pędy jeryn; olbrzymie sosny, co migotały zdaleka swoją czerwonawą korą, istne bursztynowe kolumny, poplamione rdzą; strumyki, które się sączyły pomiędzy korzeniami drzew, jak pasma jedwabiu lśniące; ścieżki, polanki z bagniskami w pośrodku, poznawała wszystko, myślała w Warszawie nieraz

o tym lesie, było teraz tak, jak chciała, aby było, jak pragnęła – a jednak zobaczywszy, poczuła brak czegoś: nie witała uniesieniem, bo ten las był jej prawie obojętnym teraz, nie czuła już tego łącznika pomiędzy sobą a temi gąszczami, co stały nieme, w połowie z liści odarte, zbiedzone i jakby zapadające w długi sen zimowy, a zionęły chłodem.

Chodzili z godzinę. Babiński zamilkł, a ona z pewną goryczą patrzyła na ten las, który nic nie mówił teraz do niej, którego życia nie czuła jak dawniej, i jak dawniej nie wstrząsał nią. Czuła się obcą wobec niego.

– Wracajmy, tak mnie odurzyło powietrze, że czuję się jakby pijaną.

– Dobrze, bo przyznam się, że zaczynam czuć katar, nie wzięłem kaloszy.

– Co pan robi wieczorem? – zapytała, aby coś powiedzieć.

– Jeśli nie jestem na służbie, to siedzę w domu i czytam, a gdy mi zbraknie książek, to idę do państwa Zaleskich, posłuchać gry pani Zaleskiej.

– Nie znam ich, muszą być w Bukowcu niedawno?

– Trzy miesiące, razem sprowadziliśmy się tutaj.

– Ależ ona musi całe dni grywać, bo ciągle słyszę muzykę.

– Po sześć godzin dziennie. Ogromnie pracuje, a przytem niesłychanie miła – dodał gorąco i zmieszał się, bo Janka uśmiechnęła się lekko. – Więc pani będzie łaskawa pożyczyć mi książek do czytania?

– Może pan przyjść jutro, to wybierzemy, jeśli się co znajdzie. – Podziękowała za towarzystwo i poszła do mieszkania. Jeszcze się nie zdążyła rozebrać, gdy Janowa przyniosła list.

– To od tej pani, co gra cięgiem – wyjaśniła.

Janka ciekawie oglądała heljotropowy list ze złotą lirą na kopercie, woniejącej także heljotropem; nie miała go jeszcze czasu przeczytać, gdy w kuchni rozległ się jakiś obcy głos. Janka podeszła do drzwi, w których ukazała się Zaleska w szlafroku adamaszkowym bordo w złote palmy, obrzuconym u szyi i przy dłoniach kremowymi koronkami.

– Pani pozwoli, ale przychodzę się usprawiedliwić...

Janka poprosiła ją do pokoju.

– Pani daruje... Jestem Zaleska! Musiała już pani słyszeć o nas, jesteśmy niedawno w Bukowcu. Trochę dziwnym jest mój list, ale niech mnie usprawiedliwi tak, jak mnie ośmielało bliskie sąsiedztwo. – Usiadła przy stole, wyjęła srebrną papierośnicę i podała Jance z uśmiechem zapraszającym.

– Dziękuję pani, nie palę.

– Jeśli zabieram czas, to proszę, powiedz pani otwarcie, pomiędzy koleżankami nie powinno być żadnego skrępowania. – Zaczęła gwałtownie koło siebie szukać zapalek. – Prosiłam pani listownie, bo osobiście nie miałam odwagi, ale mam przynajmniej nadzieję, że pani mi daruje i śmiałość, i natręctwo! – zapaliła wreszcie papierosa i pociągnęła kilka razy z lubością. – Mam wieczorem trochę gości, kuzyni bliscy, państwo Tacikowscy z Tacikowa, wie pani? Ona i moja mama... wilgotny tytoń i palić się nie chce – rzuciła papieros na podłogę i rozgniotła go nogą. – Byłam w Warszawie, ale kupić zapomniałam, więc jeśli pani będzie łaskawa, to będę jej wdzięczną, a wdzięczną być umiem... Pamiętam raz, jeszcze byłam w konserwatorjum, na ostatnim kursie, Cesia Pigłowska, wie pani? była później jedną z najlepszych uczenic Rubinsteina, talent pierwszorzędny, ale zmarnowany przez zamążpójście, chociaż ten jej mąż idealny, słowo daję – idealny. W zabawny sposób poznali się ze sobą, wypadkiem, a że traf wszystkim rządzi... Ale powracam do prośby, otóż chciałam prosić o pożyczenie nakrycia na sześć osób, bo tak mi dzieci wytlukły w ostatnich dniach, że zmuszoną jestem pożyczać. A i pani ma fortepian? i pani grywa? – zawołała, spostrzegłszy przez uchylone drzwi do saloniku fortepian; pobiegła do niego i z wielką biegłością zaczęła wybębniać jakąś improwizację. Janka poszła za nią, zdziwiona tą paplaniną nieskończoną bez związku i sensu.

– Zna pani to, co? – zagadnęła, rozpoczynając co innego. – To scherzo z koncertu Moszkowskiego! Prześliczna rzecz, a szczególnie w tem miejscu, słyszy pani śmiech, subtelny,

ironiczny śmiech! – Odrzuciła tren szlafrocza ruchem koncertantki na estradzie, uśmiechała się, przechylając główkę na bok, jakby pod ciężarem rozmarzenia, i grała, posyłając w dół z pod przysłonionych powiek niezmiernie melancholijne spojrzenia. – Ale i bielizny stołowej zechcesz mi pani pożyczyć – powiedziała, kończąc grę jakimś wściekłym fortissimo, westchnęła, opuściła bezwładnie ramiona, niby pod ciężarem rozkoszy, powlokła oczami po saloniku, podniosła rękę do czoła, westchnęła przeciągle, jakby się budząc, i powstała, dumnie się prostując.

– Daruje mi pani roztargnienie – zaczęła cicho, biorąc Jankę za rękę – ale wiem, że pani mnie zrozumie, bo jesteś pani przecież artystką. Słyszałam, słyszałam, i ma pani całą moją przyjaźń i całe moje serce. Wszystkie dusze, żyjące tylko dla sztuki, powinny się rozumieć i kochać. Do widzenia, do widzenia! – przesłała jej pocałunek od ust i wybiegła. Janka nie miała sposobności zamienić z nią i słowa jednego i po jej odejściu wzruszyła ramionami lekceważąco, i wzięła się do czytania.

W pół godziny Zaleska przesłała znowu heljotropowy liścik: o pożyczanie dwóch funtów cukru i herbaty; bo, pisała, mężuś zapomniał z Kielc.

Janka kazała Janowej zanieść wszystko, o co prosiła, ale Janowa zaprotestowała.

– Panienko, ta pani to ciągiem ino pożyczca; pan naczelnik jeszcze dawniej, jak panienki nie było, powiedział, ażeby jej nic nie dawać, bo nie oddaje. Niech pan sam powie! – zwróciła się do Orłowskiego wchodzącego, powtarzając mu, o co idzie.

– Głupiaś, moja Janowa, jak panienka jest w domu, to panienka rządzi, mnie nic do tego – powiedział ostro. – Jeżeli panienka kazała ci dać, to dać natychmiast.

Janka położyła się zaraz do łóżka, bo się czuła tym pierwszym spacerem bardzo zmęczoną. Orłowski cały wieczór chodził po stołowym pokoju i co chwila prawie posyłał Janową do Janki z zapytaniem, czy nie potrzebuje czego, a następnie zaproponował czytanie głośne.

– Niech Janowa powie, że bardzo serdecznie dziękuję i słuchać będę z przyjemnością, bo zupełnie spać nie mogę! – powiedziała Janka głośno. – Orłowski usłyszał, odsłonił kotarę, przysunął stół i, siadłszy w drzwiach, czytał jakąś mdłą powieść angielską.

Rano Zaleska znowu przysłała wonny list, w którym zapowiadała się na wieczór, a tymczasem przepraszała, że nie odsyła pożyczonych przedmiotów, bo ci spodziewani kuzyni pojechali do Warszawy, mężuś się widział z nimi na stacji, wstąpią zpowrotem. Posyłała pocałunki i prosiła na zakończenie o pożyczanie kwarty kaszki krakowskiej.

– Panienko! ona ma tu! – wtrąciła Janowa, widząc uśmiech Janki, z jakim czytała list, i zaczęła opowiadać o porządkach, jakie panują u Zaleskich.

– Nie chcę słyszeć, niech mi Janowa nigdy nie opowiada, co się gdzie dzieje.

– Zawdy przecie lepiej wiedzieć więcej kiej mniej! – tłumaczyła Janowa.

– Prowincja już mnie chwyta – myślała Janka – zaczynam już czuć jarzmo.

Przychodziła do zdrowia bardzo szybko i z początku z pewnym upodobaniem poddawała się prądowi życia cichego i dosyć czynnego, ale strasznie monotonnego, jakie płynęło w Bukowcu. Pociągi w oznaczonych godzinach przychodziły i odchodziły; Orłowski regularnie szedł na służbę rano i powracał wieczorem; Zaleski, jego pomocnik, wszystkie wolne chwile poświęcał trenowaniu się na rowerze przed stacją, na małym podjeździe. Spóźniał się na służbę i zaniedbywał dom, a jeździł i jeździł, aż to znudziło wszystkich, i tylko czasami w niedzielę chłopaki najbliższych wsi przylatywali zobaczyć tego „cudaka”, co w opiętym kostjumie, na tej djabelskiej maszynie wykreślał nieskończone koła.

Grzesikiewicz codziennie, w różnych godzinach, przyjeżdżał dowiadywać się o zdrowie Janki. Przyglądała mu się kilka razy z okna z dziwnym uczuciem pomieszania. Karaś ciągle wekslował swoje wagony. Świerkoski dnie całe przesiadywał na stacji, łąził po linii z psem, krzyczał na robotników. Janka przyzwyczała się widywać go w jednych i tych samych godzinach, w których przechodził koło okien i kłaniał się jej uniżenie, jak i przyzwyczała się do wiecznego brzęczenia fortepianu Zaleskiej. Wiedziała, co robili wszyscy wczoraj i co robić będą jutro. Wiedziała o wszystkich nadziejach i chorobach Stasia, bo był u nich kilka razy i z całą naiwną otwartością opowiadał wszystko, co się

jego tyczyło. Wiedziała o wszystkim, bo Janowa nie mogła się uspokoić dotąd, aż wypowiedziała, ile pani Zaleska wydaje na puder, ile na mięso, co robi po nocach Karaś, kto z okolicy i po co przysłał do bufetu, i tak jej to prędko obrzydło, że zamykała się na całe dnie w pokoju i leżała godzinami na łóżku, nie myśląc nic i nic nie czując prócz nudy, która ją ogarniać poczyniała.

Zaleska wypisywała do niej całe tuziny pachnących listów, wpadała na chwilę, a siedziała godziny całe, opowiadając w tempie jedenastej rapsodji Liszta o najmłodszym swoim synku, Waciu, że zaczynał już ząbkować; o Szopenie, że jest boski! o zdolnościach starszego Stefka, który wybijał pięścią klawisze; o Helence, która miała niegrzeczny zwyczaj plucia na wszystko. Wtrącała uwagi o Babińskim i ze śmieszkim znaczącym usprawiedliwiała się dyskretnie, że nie jest winną temu, że chłopak głowę traci. To znowu snuła fantastyczne projekty na przyszłość i odrazu przeskakiwała do zapytania, po ile Janka płaciła za łokieć materiału, z jakiego miała zrobioną suknię; to przynosiła kapelusz do przymierzenia, bo lustro Janki było lepsze. Wspominała niejasno o jakimś kuzynie w Warszawie, bardzo wpływowym, bardzo bogatym i bardzo miłym, który ich protegował.

– Bo mążuś jest zdolny bardzo – szeptwała, uśmiechając się blado i skubiąc kanwowy fartuszek z minką dziewczynki – ale nie ma szczęścia, zupełnie nie ma, przez cztery lata zmienił sześć służb. – Wzdychała ciężko i dawała do zrozumienia, że nie jest szczęśliwą, że ją spotkał w życiu zawód wielki, że jest ofiarą losu. A czasami, słówkami rzuconymi niebacznie, wspominała o jakimś swoim występie publicznym; o występie, który był wielkim triumfem. Wyprostowywała się, mówiąc o tem, usta jej drżały wzruszeniem i rzeczywista czy też imaginacyjna boleść za przeszłością wyciskała jej łzy z oczu i tak ją rozczulała, że śpiesznie wybiegała do siebie.

Jance wydawała się bardzo śmieszna, ale szanowała ją, bo grała znakomicie: tak opanowała technikę fortepianu, jak niewielu ze znanych i uznanych mistrzów tego instrumentu, ale poza grą była dzieckiem, zatopionem w małych sprawach codziennych, w głupstwach; nic nie wiedziała i nic prawie nie pojmowała.

Zaprosiła Jankę jednego dnia na herbatę, ale przedtem heljotropowym liścikiem prosiła o szklanki i cukier miałki. Janka poszła z ciekawością.

Zaleska przeprowadziła ją śpiesznie przez pokój, w którym mążuś nierozebrany, zabłocony ostatnią jazdą, chrapał rozgłośnie na sofce, do swojego pokoju, przylegającego do saloniku Orłowskich. Pokój był wybity błękitnym papierem i bardzo ładnie urządzony. Meble pokrywał błękitny z heljotropowym odcieniem aksamit, także były portjery i firanki, i podobny zupełnie dywan tłumił kroki. Blüthnerowski fortepian stał pod oknem; wielka palma swojemi wachlarzowatemi liśćmi tworzyła zielony dach nad klawiaturą. Gerydony, pełne zwiędłych i poschłych kwiatów, stały w kilku miejscach. Bierko, wykładane kością słoniową, maleńkie, eleganckie, przepelnione cackami, powiędłymi bukiecikami fiołków, które od wiosny wyrzucić zapomniano, listami, pudełkami z papierem listowym, nutami, rękawiczkami, które się walały w rozsypanym pudrze, stało na środku pokoju. Po krzesłach, po fotelikach japońskich z bambusu, o poręczach z heljotropowego aksamitu, na fortepianie, nawet na skromnym łóżku, ukrytem pod pawilonem z heljotropowych tiulów, na dywanie pod ścianami leżały bezładnie porzrzucone książki, nuty, przeglądy mód, fartuszki dziecinne, kalosze mężusia i t. d. i t. d.

– Boże, co za nieład, Boże, co za nieporządek – narzekała Zaleska, załamując ręce.

– Anusia, Anusia! – wołała na służącą, ale Anusia nie przyszła, tylko od kuchni dolatywał gwar i krzyk dzieci, a w przerwach coraz potężniejsze chrapanie mężusia.

– Panno Janino! niechże pani siada; straszliwy nieporządek; ale jedna sługa nie może sobie dać rady ze wszystkim; doprawdy, że nieraz rozpacz mnie ogarnia. Mówiłam już mężusiowi, aby przyjął pokojówkę; powiada, że dostać nie można. Pisałam nawet do kuzyna, niechby przysłał z Warszawy.

Poskładała nuty na fortepian, przysunęła Jance fotelik i upadła zmęczona na niski, biegunowy fotel, obity heljotropowym jedwabiem; ale zerwała się natychmiast, wydobyła pudełko cukierków z biurka, przysunęła do Janki maleńki stoliczek z czerwonej laki, postawiła cukierki i zaczęła Jankę

zapraszać do nich. Sama jadła je ciągle, bujała się na fotelu, poprawiała misternie w grajczarki sztywne ufryzowaną grzywkę i znowu mówiła:

– Proszę pani, myślę, czemu nie zostałybyśmy przyjaciółkami! Chwilami tak mi potrzeba przyjacielskiego serca, duszy, któraby mnie kochała. Ach! w tej chwili każę dawać herbatę. – Wybiegła i powróciła prawie natychmiast zdyszana i zarumieniona, z wypiekami na twarzy, upadła ciężko na fotelik, zaczęła gryźć cukierki, z kuchni przybiegły za nią przeraźliwe krzyki dzieci. – Ach! boję się szaleństwa, ale jeślibym dłużej miała w takich warunkach żyć, to nie ręczę za siebie. – Przerwała, nasłuchując, bo turkot jakiś rozległ się przed stacją. – Ma przyjechać do mnie dzisiaj pani Osiecka, zna ją pani?

– Tylko z widzenia.

– Bardzo miła kobieta, trochę smutna, ale dystygowana i ma rozległe w świecie stosunki, bardzo często przyjmuje u siebie, szczególnie latem, bo mieszkało u niej kilka kuzynek. Świerkoski się podobno stara o jej siostrzenicę, Zosię, ale to bardzo dziwny człowiek, przyznam się, że go się boję. Czy to prawda, że pani była w teatrze – zapytała prosto.

– Trzy miesiące byłam – odpowiedziała Janka niechętnie.

– Pani mi daruje, już się nie pytam więcej, bo widzę, sprawiłam przykrość zapytaniem. Tak, tak – szepnęła melancholijnie – każdy człowiek, a szczególnie kobieta każda, ma w swoim życiu jaśniejsze chwile, o których nierada mówić; rozumiem to dobrze. Proszę pani, te morele w cukrze bardzo dobre, ręczę za nie, bo to mój kuzyn je przysłał.

Usiadła do fortepianu z cukierkiem w ustach i zaczęła grać preludjum Szopena, te szeptane przez łyzy, wśród czarów wiosennej przyrody, zwierzenia duszy chorej. Janka wsłuchiwała się z przejęciem i kładła na tych pełnych woni i smutku rytmach duszę, i zwolna pograżyła się w jakiś nastrój szarpiający nieopowiedzianą tęsknotą. Zaleska grała z uczuciem i z przedziwną prostotą, nie było w jej grze nic błyskotliwego, nic wirtuozowskiego, obliczonego na olśnienie i zdumienie słuchaczy; gra jej była jakaś nieosobista, tak nic indywidualnego nie mąciło i nie przysłaśniało Szopena. Jej blada, nieregularna twarz, powlekła się smutkiem, wielkie, piwne oczy świeciły głębokim wyrazem odczuwania piękności muzyki, przygryzła ze wzruszenia wiśniowe, prześlicznie wykrojone usta i grała, przejmując się coraz głębiej.

– Przystań! psiakrew, że to przespać się nie można, tylko brzdąkanie i brzdąkanie – krzyczał mąż, zatraskując drzwi do buduaru, i poznać można było po gwałtownym trzeszczeniu sofy, że położył się znowu spać.

Zaleska zerwała się od fortepianu i zaleknionym wzrokiem spoglądała na drzwi, to na Jankę.

– Pani daruje, ale mążuś zmęczony treningiem... zapomniałam istotnie... – Wstała, chcąc prawdopodobnie iść przeproszać go, ale usiadła zpowrotem przy fortepianie i zaczęła obrywać zeschnięte liście kwiatów na oknie, aby ukryć wzruszenie, ale nie potrafiła, bo łyzy zaczęły się wydierać z pod zaciskanych powiek i coraz obficiej płynąć po twarzy, żłobiąc w wypudrowanej powierzchni żółtawe brzozy; rozplakała się wreszcie spazmatycznie, przysłoniła twarz chustką i płakała cicho, jak dziecko skarczone niesłusznie. Janka uczuła się wprost oburzona brutalnością Zaleskiego i w jakimś przypływie współczucia przysunęła się do niej, i uspokajała ją z prawdziwą serdecznością. Zaleska przycisnęła się do niej, jak dziecko, i płakała; zdawało się, że całe strumienie łez ruszyły z łóżysk niewyczerpanych i płyną coraz obficiej.

– O, jakże jestem nieszczęśliwa! o, gdybyś pani wiedziała! – szeptała coraz ciszej, trzęsła się w łkaniu, jakie rozrywało jej piersi.

Janka przygarniała ją do siebie coraz silniej i głaskała pieszczotliwie po wspaniałych, puszczonej w warkocz, włosach. Nie wiedziała, co mówić do niej, ani czym ją pocieszać, wzbudzała litość tem swoim dzieciństwem i wrażliwością.

– Mążuś jest dobry, o, ja się nie skarzę na niego, nie; jest bardzo dobry, ale służba tak go rozdrażniła, że czasem powie jakie słowo ostre, które mnie tak boli, tak boli... – Umilkła i zaczęła ssać chciwie cukierek; uspokoiło ją to nieco, bo poszła do toaletki, stojącej obok łóżka, wytarła się

kolońską wodą, przypudrowała i wyszła uśmiechnięta i rozpromieniona; zupełnie już zapomniała o przykrości niedawnej, tylko pod oczami, wilgotnymi od łez i wody kolońskiej, wystąpiły sine plamy, jako jedyne ślady wzruszenia. Poszła do kuchni i wkrótce służąca przyniosła herbatę.

– Anusia, a nie zapomnij tam o dzieciach.

– To się wie, nie trzeba mi przypominać – odpowiedziała opryskliwie służąca.

– Niech się Anusia nie gniewa, ale czasem można zapomnieć – prosiła pokornie i, gdy służąca wyszła, zaczęła się usprawiedliwiać: – Takie teraz są złe służące i tak o nie trudno, że boję się, aby mnie moja Anusia nie opuściła, bo mężuś się gniewa, jeśli zmieniam sługi często, a do tej dzieci zupełnie się przyzwyczaiły.

Jance żał się zrobiło tej biednej niewolnicy sług, męża i dzieci, i chciała jej to powiedzieć, ale Zaleska znowu mówiła:

– Pani zna pana Grzesikiewicza?

– Dostyc dawno – odpowiedziała Janka, chmurniejac.

Zaleska spostrzegła się, że znowu sprawiła jej przykrość, i umilkła, przysiadła do biurka, napisała na heljotropowym bilecie kilka wierszy, które zaraz poszła wysłać przez Anusię. Później znowu zaczynała mówić, ale wpadała co chwila w zamyślenie, patrzyła w okno, zaglądała cichutko, czy mężuś śpi jeszcze, wzdychała, jadła cukierki i przesiadała się z krzesła na krzesło, nie mogąc nigdzie usiedzieć.

– Wie pani! w Warszawie jesień nie jest tak straszną. Ciekawam, czy też noszą jeszcze figara?

– Nie wiem.

– Sezon koncertowy już się rozpoczął; ach, te środy w Towarzystwie Muzycznym!

– Bywała pani często?

– Nie opuszczałam ani jednej! a premjery w Rozmaitościach? a koncerty latem w Dolinie Szwajcarskiej! a tysiąc przyjemności, jakie tylko miasto dać może; ta atmosfera artystyczna, którą się oddycha, to życie inne! Boże, Boże! gdzie to wszystko się podziało, gdzie te czasy.

Janka uśmiechnęła się ironicznie; znała ona nieco tę atmosferę artystyczną, to inne życie.

– Pani Osiecka z panienką przyjechały! – meldowała Anusia.

– Proś! proś! – zawołała Zaleska, biegając po pokoju i, nie wiedząc co robić, pobiegła do mężusia.

– Heniu! Heniu! – szeptała mu do ucha, czerwieniejąc z trwogi. – Mężusiu, mój złoty, wstańno, przyjechała pani Osiecka. – Zaczęła bardzo delikatnie poruszać go.

– Do pioruna z babami! Czegóż znowu chce ten stary grzmot? Psiakrew, że to przespać się nie można – krzyczał, podnosząc się na nogi.

– Henieczku! nie gniewaj się, mój złoty! mój jedyny! – szczebiotała napół z płaczem, uwiesiła mu się u szyi i bardzo pieszczotliwie i z niezrównanym wdziękiem kotki łąsiła mu się u szyi, i spoglądała w oczy trwożnie, niby pies, który się boi kopnięcia.

Odepchnął ją, zabrał poduszkę pod pachę i wyniósł się do dziecinnego pokoju, a Zaleska pobiegła śpiesznie naprzeciw bardzo poważnie prezentującej się damie, która wchodziła.

– Jaka pani dobra, jaka pani dobra! – całowała ją serdecznie. – Panno Zofjo, jakże zdrowie? – zwróciła się do młodej panny w dość krótkiej sukience i filcowym, marynarskim kapeluszu. – Panna Janina Orłowska! – przedstawiała Jankę. – Anusia! weźno okrycie pani.

– Cicho, dzieci! – krzyczała na gromadkę swoich dzieci, która ze wszystkich stron wieszała się Osieckiej. – Pozwólcie panie do mnie.

– Moja pani Stefo, a niech się tam koniem zajmie służąca, bo przyjechałyśmy same, no, mówię pani, same, bez parobka! – zawołała potężnym głosem Osiecka, z trudem wpychając się na fotel.

– Dobrze. Anusia! a daj tam koniowi owsa! Prawda, że konie jadają owies?

Osiecka roześmiała się na całe gardło i tak donośnie, że koń zarżał na podjeździe.

– Oj, ty dzieciaku, dzieciaku! a chodź-że do mnie, niech cię ucałuję za taką szczerą naiwność, to... – zakrzyczała gwałtownie, jakby jej kto zaprzeczał.

– To ja się zajmę koniem, może Anusia nie chodzić – powiedziała Janka, myśląc, że przy tej sposobności potrafi się wymknąć.

– O, złota panno Janino, dobrze, bo doprawdy nie wiem, czy mamy w domu owies; ale pani zaraz powróci, koniecznie, bardzo o to proszę, bardzo.

Janka obiecała i wyszła.

– Czy to ta Orłowska, co to była w teatrze, co to się przed miesiącem truła? stało o tem w gazetach, sama czytałam, na własne oczy! – dodała, czerwieniąc się z irytacji.

– Tak, to ta sama, bardzo dystygowana kobieta, dzielna.

– O, dzielna! doskonale! Dzielna kobieta! – powtórzyła ciszej Osiecka, i jakiś drwiący, zły uśmiech przeleciał po jej przystojnej twarzy, okolonej zupełnie siwymi włosami, co przy czarnych, ogromnych oczach, pełnych żywości i temperamentu, stanowiło jakiś przykry kontrast. Usta i płeć miała zadziwiająco świeże i młodzieńcze.

Janka powróciła wkrótce, i zaczęła się pogawędka bardzo żywa, o niczem prawie. Zaleska częstowała tylko cukierkami i kolejno przysiadła się do każdej, aby kilka słów szepnąć do ucha w tajemnicy. Osiecka ustawicznie przyglądała się Jance. Janka poczuła ten wzrok ciekawy, podniosła dumnie głowę, spojrzenia ich się skrzyżowały zimno i badawczo, a Jankę owładnął jakiś lęk niewytłumaczony, zadrżała, bo oczy Osieckiej przewiercały ją nawskroś i wprost obmacywały całą jej postać, i śledziły z uwagą jej ruchy.

– Nie nudzi się pani na wsi? – spytała Zosi.

– Nie – odpowiedziała krótko i w zakłopotaniu spoglądała na Osiecką, pytając się oczyma, czy mówić może, ale i Janka nie pytała więcej, bo czuła, że myśli zebrać nie może, bo ten tubalny głos Osieckiej podrażniał ją, a te jej oczy, ustawicznie biegające, mieszały ją. Mękę jakąś czuła, jaką musi przechodzić ptak, hipnotyzowany przez grzechotnika; nie miała sił się podnieść i uciec, pomimo że pragnęła to zrobić; w głowie zaczynało się jej mącić, fale krwi uderzały do mózgu, tak osłabła, że była bliską omdlenia, a jednocześnie z pewnym strachem stwierdzała swój stan, bo nigdy przedtem czegoś podobnego nie doświadczała. – Chora jestem! – myślała, rozcierając sobie skronie.

– Gdzież Henio? – zagrzmiała Osiecka.

– Mężuś? prawdopodobnie na służbie...

– Nieprawda. Tatuś śpi! – zaprzeczyła ze złośliwą radością siedząca dotąd cicho Hela.

– Tak... być może... nie uważałam – tłumaczyła się Zaleska, spoglądając błagalnie na córkę.

– Obudź go pani, to sobie małego preferka urządzimy; no, mówię małego, to małego! Pani gra w preferansa? – zapytała już spokojniej, zwracając się do Janki.

– Nie – wyszeptała z trudem, wstrząsając się nerwowo.

– Szkoda! Mój ś. p. mąż mawiał, że to jedna z najprzyjemniejszych gier; dla mnie ona jest, niestety, jedyną przyjemnością od czasu śmierci ś. p. męża; tak, jedyną biednej, samotnej wdowy przyjemnością; no tak, skoro mówię, że samotnej, biednej wdowy jedyną... przyjemnością... – powtórzyła z jakimś łkaniem, wsparła się na stoliczku, aż zatrzeszczał, i łyzy, niby wielkie krople tłuszczu, zaczęły płynąć z jej oczu niespodzianie.

– Cioteczko! niech się ciocia uspokoi.

– Droga pani wie, że jej każde wzruszenie szkodzi – prosiła błagalnie Zaleska.

– Szkodzi... oj, szkodzi, ale pani myślisz, że to biednej sierocie tak łatwo zapomnieć o swoim przyjacielu najlepszym, a wszystko mi ciągle przypomina, że jego już niema. Nie mogę podnieść łyżki do ust, aby nie pomyśleć, że ten mój kochany, ten niezapomniany! ten... – przysłoniła sobie tustą, wielką, niby patelnią, ręką oczy i ciężko wzdychała, aż fotel trzeszczał, rozpierany jej kształtami, wstrząsanemi łkaniem sierocem. – Zosia całowała ją po rękach i szczebiotała słowa banalnych pociach, ale w oczach miała źle skrywaną niecierpliwość i znudzenie. – Zaleska biegała pomiędzy nią a tualetką, skąd przynosiła coraz nowe flaszki z perfumami i z całym namaszczeniem zlewała jej twarz i głowę kolońską wodą. Osiecka pozwoliła robić z sobą wszystko, co chciała. Odjęła ręce od twarzy i całym ciężarem zwiesiła się na poręczy fotelika z bezwładnością boleści nieutulonej.

Janka, pod wpływem tej sceny, która zrobiła na niej komiczne wrażenie, odzyskała nieco sił i przytomności i teraz patrzyła na profil Osieckiej z drwiącym uśmiechem.

– Dziękuję ci, Stefa! dziękuję! – szeptała Osiecka rozbolełym głosem. – Twoje współczucie budzi nowy żal, nowy ból szarpie mnie przypomnieniami, że to nie on, nie ś. p. mąż mój tak myśli o mnie; nie ś. p. mąż mój tak mnie pieści – zawołała energiczniej.

– Ależ nikt pani nie przeczy – powiedziała trochę szorstko Janka.

Osiecka uderzyła ją oczami, niby maczugą, i ciągnęła dalej narzekania łzawym głosem:

– Nie dziwię się obojętności ludzkiej, bo cóż kogo może obchodzić stara, samotna kobieta? Grzeczność! tak, grzeczność zimna tylko. To się dopiero później ocenia, kiedy się zostaje samą na świecie... sierotą... opuszczoną... Pani Stefo, każ zaraz robić kolację, bo tylko jedną partję dzisiaj zagramy, aby wcześniej jechać do domu, bo noce teraz są ciemne – są bardzo ciemne, jeśli się nie nie myślę. – Zwróciła się do Janki.

– Doprawdy, ale nie mogę tego potwierdzić, bo wieczorem już oddawna nie wychodziłam.

– Ach, pani chorowała, jeśli się nie myślę.

– Tak – powiedziała krótko Janka, bo ten wzrok przenikliwy Osieckiej zabolął ją i zmieszał.

– Pani Stefo, obudźno męża, czasby już zacząć grać; no, mówię, że czas, to czas.

– O, z pewnością, że czas – potwierdziła senna Zosia.

Zaleska wyszła, i po chwili w sąsiednim pokoju rozległ się gniewny, zaspany głos mężusia i pokorny, błagający żonusi; potem trzask wysuwanych i zamykanych szuflad, chlupot wody i potężne parskanie. W jakie pół godziny ukazał się Henio. Wyświeżony, w nowym mundurze, uśmiechnięty, różowy od snu i wody, podobny do młodego kurczaka, z tym nosem cienkim i długim, z grzywką naturalnie się wijących w pierścionki włosów blond, starannie rozczesanych przez środek głowy, aż do karku, z oczyma niebieskimi z wypełzłej emalji, ze słodkim uśmiechem i elegancją kelnera, suwał nogami i przeginał wysoką, smukłą, dobrze uformowaną figurę. Ucałował ręce Osieckiej, która go pieszczotliwie poklepała po twarzy.

– Pani dziedziczka dobrodziejka raczyła zaszczycić nas swoją osobą, z czego ja i moja żona jesteśmy niezmiernie radzi, nieprawdaż, żonusi? – Ucałował po raz drugi jej ręce, pochylił przepołowioną rozczesaniem głowę przed Zosią, i zwrócił się do Janki z poważnym, pełnym szacunku dla córki zwierzchnika, wyrazem twarzy.

– Nie miałem dotychczas sposobności i przyjemności poznać pani osobiście, chociaż tego pragnąłem bardzo, ja i moja żona, nieprawdaż, żonusi? Tak mówię, bo jestem pewny, że mam przed sobą pannę Janinę Orłowską, córkę naszego drogiego, szanownego naczelnika, z czego jesteśmy, ja i moja żona, niezmiernie szczęśliwi, niezmiernie jesteśmy dumni, że możemy panią powitać u siebie. – Stał w drugiej pozycji, wyciągnął rękę, jak w kontredansie, uścisnął jej dłoń, skłonił się tak nisko, że zobaczyła jego czerwony kark, i usiadł pomiędzy Janką a żoną. Uśmiech nie schodził mu z ust i rozpromienienie z twarzy.

– Jaki on piękny! jak on mi przypomina ś. p. mojego męża – rozrzewniła się Osiecka, całując go oczyma. – Panie Henryku! usiądź pan przy mnie, bo mam taki szum w głowie, że zdaleka wyrazów niektórych nie dosłyszę.

Przysunęła się do niego tak blisko, że prawie pół jej osoby, zwieszającej się przez trzciniowe poręcze fotelika, opadło i pokryło jego nogi.

– Żonusi! może każesz naszykować stolik do kart.

– Jakże panu idzie trening? – zapytała Zosia.

– Bliski jestem celu, bardzo bliski – zawołał żywo. – Robię już dwadzieścia kilometrów w minut pięćdziesiąt, i jeśli tak dalej będę postępował, to wiosenny pierwszy rekord mój z pewnością, bo dotychczas jeszcze nikt tak szybko nie jeździł. – Rozpromienił się, z żywością zaczął rozmawiać o maszynach, gumach pełnych, pneumatykach, oliwiarkach, szosach, rekordach i startach. Przytaczał szczegóły z ostatnich wyścigów, opowiadał anegdotki ze sportowego życia. Prawił z wielkiem lekceważeniem o niezwykłym dotychczas, polskim championie cyklistów. Pokazywał nogami

i rękami niektóre *finishowe* ruchy, które powinien robić jeździec, jeśli chce pierwszy stanąć u celownika. Siadał na krześle, niby na maszynie, i mówił, mówił, sam śmiał się z własnych dowcipów pierwszy, a nogami bezwładnie pedałowal i poręcz krzesła ściszał, i kręcił, jakby kierownikiem. Zosia słuchała z otwartymi ustami, Osiecka co chwila wybuchała potężnym śmiechem, aż fotelik trzeszczał i, aby okazać mu swoje zadowolenie, klepała go po twarzy, lub szczypała nieznacznie w wyrobione, stwardniałe bicepsy.

– A smyk! a zuch chłopak! – szeptała, zachęcając go do coraz nowych opowiadań. Zaleska w otwartych drzwiach do jadalnego pokoju ukazywała się co chwila, patrzyła na mężusia z dumą, słuchała, uśmiechała się delikatnie z jego blagierstwa i znikwała, krzątając się dalej około kolacji. Jankę znudziło prędko to towarzystwo, więc, pomimo bardzo gorących prośb, aby została dłużej, pożegnała się i poszła do mieszkania.

IV

Zastała ojca przy herbacie i Świerkoskiego, coś żywo rozmawiających. Na stole stał w bardzo pięknym, brązowym wazonie wielki bukiet z róż kremowych i czerwonych goździków. Przywitała się ze Świerkoskim i ze zdziwieniem oglądała bukiet ze wszystkich stron, a unikając spojrzeń ojca, spojrzała pytająco na Janową, która stawiała przed nią herbatę.

Orłowski podsunął jej list i wymownym ruchem wskazał jedność z bukietem, odwrócił się do Janowej i półgłosem powiedział:

– Niech Janowa powie, że to z Krosnowy! Owszem! z przyjemnością, panie Świerkoski, pożyczę panu tych czterystu rubli – zaczął mówić prędko do dozorca.

– Za dwa miesiące od daty dzisiejszej zwrócę, lecz, jak mówiłem, mam teraz wypłaty za te kamienie chłopom, którzy mi je dostawiają, i całą gotówkę już wydałem. Za dwa miesiące będę mógł wziąć zaliczkę, to zwrócę. – Zamilkł gwałtownie, podniósł się i zaczął liczyć w bukiecie kwiaty. – Trzydzieści pięć róż – szepnął, zapisując tę cyfrę na mankiecie. Sześćdziesiąt dwa goździki. – Policzył raz jeszcze i postawił tę cyfrę obok poprzedniej. – Trzy tysiące pięćset sześćdziesiąt dwa! bardzo dobry numer, bardzo dobry. Połowa stanowi: tysiąc siedemset osiemdziesiąt jeden. Śliczna cyfra – szeptał, zapisując mankiet. – Jak się państwu ta pierwsza cyfra podoba? – zapytał, pokazując kolejno brudny mankiet Orłowskiemu i Jance.

– Doprawdy nie wiem, co panu mam powiedzieć, bo na mnie żadne cyfry nie robią wrażenia – odpowiedziała Janka, zdumiona jego zachowaniem.

– To dla pani martwe, tak! do mnie zaś mówią wyraźnie, ot ta cyfra, którą tutaj wyciągnąłem z ilości kwiatów, mówi mi, żebym poszukał tegoż numeru w jakiegokolwiek loterji, bo wygra z pewnością los główny. Dziękuję panu serdecznie za pożyczkę – zwrócił się do Orłowskiego. – Bardzo przepraszam, ale iść już muszę; przypomniał mi się bardzo pilny interes. – Pożegnał się śpiesznie, świsnął na psa i wybiegł: leciał do domu, aby w samotności rozmyślać nad temi cyframi i pisać do swoich loteryjnych dostawców o los z takim numerem.

– Bzika ma, przysięgam Bogu, zupełny fiksat – mruknął Orłowski.

– Bardzo ładne kwiaty! – szepnęła Janka, oglądając raz jeszcze bukiet.

– Umyślnie jeździł po nie do Warszawy – szepnął Orłowski, szarpiąc brodę, bo mu było ciężko mówić wprost do niej; zaczął chodzić naokoło stołu z założonemi na plecach rękoma i z czułością spoglądał na Jankę, która długo czytała list Grzesikiewicza, skończyła i w milczeniu podała go ojcu.

„Szanowna Pani. Niewłaściwie postępuję, ale z tak szczeremi intencjami, że Pani mi wybaczyć musi. Od ojca wiem, iż Pani powróciła do zdrowia, więc jeśli moja osoba nie sprawia Pani wstrętu, jeśli jej nie jestem nienawistnym, to bardzo serdecznie proszę o pozwolenie odwiedzenia się”. – List był długi i cały w tym tonie błagalnym, a szczerym. Prosił wkońcu o słówko choćby odpowiedzi, bo bez niej nie miałby odwagi przyjechać; że jeśli nie zechce go widzieć, to on się zgodzi na to, ale tak błagał, tak zgóry zobowiązywał się skryć w sobie, zdusić wszelkie samolubne uczucia, byle tylko pozwoliła mu przyjechać. Załączał pozdrowienie od rodziców.

– Poczciwy chłop, przysięgam Bogu, poczciwy Jędrak – szeptał Orłowski, a Janka słuchała jakby w płomieniach; zaczął ją przepalać jakiś bolesny ogień, jakiś cichy, głęboki żal zatargał nią. Wpatrywała się w bukiet, wchłaniała bladą, jesienną woń tych kwiatów i zobaczyła przed sobą dobrą, pocziwą twarz tego, który jej te kwiaty ofiarował. Poczuliła głęboką wdzięczność i jakieś słodkie zadowolenie miłości własnej, że pomimo wszystkiego on ją kocha jeszcze, ale ta wdzięczność jej serca zaczęła się mieszać powoli z jakąś troską, z jakimś nieuchwytnym żalem, z jakimś, niewiadomo skąd płynącym, lękiem; serce jej podobne było do palety pełnej farb, które rozciekały, mieszały się z sobą, przenikały wzajemnie i, pomieszane, tworzyły jakąś brudną plamę.

Wieczór ciągnął się posepnie.

Nie mówili do siebie, ale coraz głębiej czuli, że im tak źle, że potrzebują koniecznie powiedzieć jakieś słowo, które ich zjednoczy i wzmocni. Serca ich wzbierały pragnieniem wypowiedzenia się.

Orłowski wciąż chodził naokoło stołu z ponurą twarzą. Chwytał brodę zębami, przystawał i miał już to słowo na ustach, już chciał je wymówić, ale obawa, że ona się rozgniewa i pójdzie do swojego pokoju, mroziła go, rzucał ramionami, oczy błyskały mu boleścią i nie odzywał się. Janka także nie mogła usiedzieć na miejscu, próbowała czytać, szyć, coś robić, nie mogła, co wzięła, wysuwało się jej z rąk. Zdenerwowanie trzęsło nią całą. Wpadła w jakiś bolesny stan, pełen przeczuć i niepokojów nieznanymi. Słuchała szumów leśnych, wdzierających się przez okna, to monotonnego skrzypu zegara, ale na niczem nie mogła skupić uwagi, o niczem myśleć nie mogła, bo pierzchały jej myśli, jak stado ptactwa, płoszone przez coś niewytłumaczonego. Patrzyła na list, leżący na stole, na który kwiaty rzucały lekki różowawy refleks, czytała go po kilka razy i miała tylko jedno słowo, które samo wracało ciągle i dźwięczało w jej mózgu bez udziału nawet świadomości.

– Nie! nie! nie!

Poszła spać. Orłowski patrzył za nią krwawymi, błagającymi oczyma, nie spojrziała nawet na niego, przechodząc; zapomniała, że oprócz niej jest jeszcze ktoś w pokoju. Postawiła bukiet na stole, zgasła lampę i leżała wpatrzona w świat, zalany potokami księżycowego światła, które wielkim i długim, pokratowanym przez fugi okienne, pasem, lśniło się na posadzce. Wpatrywała się później z usilnością w stary, wyblakły portret matki, wiszący na przeciwnej ścianie, po którego oszkleniu i czarnych ramach ślizgało się światło i wydobywało łagodne kontury rysów, zatopionych w cieniach, jak się tylko w pamięci rysują dawno umarłe postaci; patrzyła się w matkę i jakby żądała od niej jakiej rady, jakiegoś słowa mocnego, którego pragnęła, którego potrzebowała, i jakby się modliła do niej głębią nieświadomą tylko, bo usta szeptały: – Co robić? co robić... – i, nie znajdując odpowiedzi w sobie, ani nie słysząc jej z zewnątrz, zapadała w chaos splątanych myśli, scen i marzeń, jakie w tej ciszy nocy szły do niej z przestrzeni, wychylały się z ciemnych nor mózgu i przepelniały jej duszę gwarem bolesnym, uczuciem opuszczenia, smutkiem, niemocą; i wtedy miała tylko tyle siły, aby sobie powtarzać w duszy: – Nie, nie, nie! – Bała się, nie śmiała nawet sobie zdać sprawy, dlaczego myśli to – nie. – O! nie mogła, bo natychmiast, gdy unosiła się wewnątrz, gdy zaczynała rozplątywać, i myśli układały się w pewien wniosek, z jakichś głębin wyłaniała się twarz tego nienawistnego, podłego, którego z całą gwałtownością swojej natury przeklinała, i wisiała jej przed oczyma, i wlokła za sobą wszystkie zapomniane sceny jej upadku, wstrętne sceny! przypomnienia wszystkich łez i cierpień.

Zerwała się z łóżka i bosą, w białej tylko, z zaciśniętymi palcami, chodziła po pokoju. Rozpuszczone na noc włosy, jak złoty ogon komety, biegały za nią, zamiatając kurz posadzki, i w księżycowym świetle skrzyły się elektrycznymi skrami.

Okryła się chustką i poszła do stołowego; przez drzwi do kuchni przeciskało się światło, weszła tam. Janowa siedziała na ziemi, przed skrzynką otwartą.

– Panienska nie śpi jeszcze? A ja se paniensko oglądam, a jakże, oglądam se. A to te materje dała mi pani córka – mówiła, rozwijając z papieru jakiś rdzawego koloru materjał. – Spódnicaby była i kaftan, ale ja sobie to każę zrobić dopiero na śmierć, a na śmierć, paniensko. Dziecińskie podarunki najmilejsze do trumny, paniensko. Jak się przed Ojcem Przedwiecznym stanie, to choćby tu i pani córka nagrzeszyła, to jak ja, matka, powiem: dała mi to obleczenie, kochała mnie! to ta już odpuszczone będzie.

Janka w milczeniu przypatrywała się jej starej, pomarszczonej twarzy, o sinych, obwisłych ustach, z poza których wychylały się spróchniałe zęby, podobnej do krowiej gęby, a pełnej macierzyńskiej miłości, którą jaśniały małe, głęboko schowane oczy, świecące pod czołem, okrytym żółtą chustką. Poczwała szacunek dla tej prostej, głupiej kobiety, która umiała tylko kochać, dla której cały świat i życie całe streszczało się w dziecku.

Wyszła z kuchni, bo poczuła jakiś żal, że jej nikt tak bezgranicznie nie kochał. Zajrzała do saloniku, w którym księżyc świecił przez okno i złocił jakby wyszczerzone, zielonkawe zęby

klawjatury otwartej. Janka weszła i, nie myśląc, pociągnęła ostatnie drzwi do pokoju ojca; nie słyszał jej wejścia, siedział pochylony nad biurkiem i pisał.

– Może mi ojciec poradzi, co mam odpisać Grzesikiewiczowi? – zapytała cicho.

Orłowski zerwał się gwałtownie, popatrzył na nią targnął brodę i szepnął:

– Co chcesz, co tylko chcesz; ja cię do niczego nie zmuszam, na nic nie nalegam. Zechcesz iść za niego, idź, nie chcesz, dobrze. – Zamilkł, bo go wzruszenie dławilo, odwrócił się i zaczął bibułą wyciągać atrament z pisma.

Jance zrobiło się przykro, wzięła jego ruch za niechęć, jego szorstki głos za głos gniewu i nienawiści, więc się nie odzywała, tylko szła zpowrotem.

– Janiu! – zawołał, ale tak miękko, tak pieściwie, z takim smutkiem i miłością, i żalem, i strachem w głosie, że odwróciła się szybko i, porwana tym głębokim akcentem, który zatargał ją do głębi, rzuciła mu się w ramiona.

– Ojczy mój! Ojczy! Ojczy!

– Moje dziecko! moje dziecko! – szeptali, obejmując się ramionami. Zmieszali z sobą łzy i pocałunki i nie mówili nic więcej ponad te słowa, tylko serca biły im zgodnie.

V

- Panienko, oto Bartek z Krosnowy przyszedł i powiada, że go dziedzic przysłali po list.
- Niech Janowa każe mu przyjść do mnie.
- Hale!... wczoraj podłoga myta, a tam bez las takie błocko, takie... możeby...
- Zawołać go zaraz, podłogę Janowa wytrze.

Bartek przyszedł i stał przy drzwiach, obracając nieśmiało czapkę, a Janowa ze stołowego pokoju spoglądała na jego buty z jakąś komiczną nienawiścią, bo istotnie zostawiały grube ślady na woskowanej posadzce.

Janka pisała, ale co chwila darła arkusiki i zaczynała na nowo. Chciała podziękować Grzesikiewiczowi za pamięć i odpisać kilka słów uprzejmych, a nic nieznaczących. Wreszcie po długich usiłowaniach skleiła odpowiedź.

- Dawno jesteście u pana Grzesikiewicza? – zapytała, pieczętując list.
- He! he!.. a zawdy byłem, nikaj indziej nie służyłem.
- Starsza pani zdrowa?

– He! he!.. zdrowa, musi być zdrowa, bo jeszcze rano Jewkę sprąła po gębie – śmiał się głupowato Bartek, obracając coraz szybciej czapkę, i okrągła, puciołowata twarz, wygolona starannie, z szerokimi ustami, małym noskiem, okrągłymi oczyma i z grzywką żółtawych włosów, równo obciętych nad czołem, krzywiła mu się zadowoleniem.

- Oddajcie list i kłaniajcie się państwu. Jak się nazywacie?

– He! he!.. a Bartek! To panienska nie wiedzą? a przecież wszyscy wiedzą! – Bartek list obwinął w chusteczkę, wsadził ją w zanadrze, pochylił się do nóg, pochwalił Boga i wyszedł.

W kuchni czyhała na niego Janowa.

– Bartek, ty zapowietrzony, a nie mogłeś to se niezdarco bucisków obmyć w wodzie, co? to do pokoiów będziesz chodzić w takich gnojach, co? Drugi raz to cię przetrzęcę.

- He! he!.. ożynię się z wami, kobito, i pogodziwa się!
- Hale! będziesz się tu, pokrako jedna, prześmiwać! – i oglądać się zaczęła za miotłą.

Bartek sunął prędzej do drzwi i walił nogami tak silnie, że błoto kawałami odpadało mu od butów na czystą podłogę kuchni, największą troskę i chlubę Janowej.

Zabrał gazety z poczty, wsadził je do parcianej torby, którą sobie przewiesił przez ramię, popatrzył przed stacją na trenującego się Zaleskiego i ruszył przez las do domu. Leciał prędko, ale im bliżej był Krosnowy, tem większa markotność i niepokój przepelniały mu duszę. Przystawał, zdejmował czapkę i drapał się fraszobliwie po głowie. – I... raz kozie śmierć – mruczał, naciskał głębiej czerwoną, krakowską rogatywkę, ucierał nos w palce, obciągał szeroki, nabijany mosiężnymi blaszkami skórzeń i szedł wolniej, bojaźliwym spojrzeniem badając drogę, wybiegającą z lasu na wielkie pola, pofalowane wzgórzami, pocięte długimi obszarami zbóż ozimych, podorówek i rdzawych, wytartych ugorów i ściernisk. Lasy wielkiem kołem, jakby obręczą niebieskawą, ścisnęły obszary pól, z majaczącą wśród nich wsią dużą, przez której domy i sady, w połowie ogołocone z liści, błyskała szeroka, wijąca się kapryśnymi skretami rzeka, płynąca z lasów do wielkiego stawu przy dworskim ogrodzie, skąd wylewała się na młyńskie koła i płynęła niżej przez wielki park, przecinała drogę i migotała błyszczącą w słońcu wstęgą na łąkach żółtawych, pomiędzy kępami czarnych olszyn i długich plam trzcin poschniętych.

Bartek most przeszedł i wspaniałym z lip olbrzymich szpalerem, sadzonym w kierunku nasypu, trzymającego rzekę na wodzy, biegł ku dworowi, zdaleka już bielejącemu wielką kolumnadą podjazdu, nad którą okna piętra, zakończonego bardzo śpiczastym dachem o dwóch kondygnacjach, odbijały jaskrawo promienie słońca. Przeszedł skośnie wielki klomb, otoczony niskim, berbersowym żywopłotem, porożywanym i uschłym w połowie, w którym zamiast trawników i kwiatów rosły kartofle, i poszedł w bok, do dużej oficyny, stojącej w cieniu kasztanów,

połączonej z dworem gankiem krytym, pełnym powybijanych szyb, obdartym z szalowania, jakim niegdyś był obity. Zajrzał przez otwarte okno do kuchni.

– Magda, a kaj pani gospodyni?

Magda wskazała mu głową na sień i tłukła dalej kartofle w wielkiej cebratce, buchającej kłębami pary.

Na progu sieni, do której się schodziło przez czworokątne zagłębienie, tworzące wpuszczony w dom ganek, siedziała Grzesikiewiczowa na starym, podartym fotelu, z którego wyłaziło włosie. Darła pierze w przetak, trzymany na kolanach, i co chwila rzucała oczyma na klomb i na drugie podwórze, oddzielone od paradnego wyplatany płotem chróścianym i rządem wysmukłych, z poszlami wierzchołkami, topoli, otoczone z trzech stron budynkami gospodarskimi.

Bartek w ganku czapkę zdjął, torbę przekręcił i wyjmował gazety.

– Masz list od panienki? – zapytała łagodnym głosem, podnosząc ku niemu siwe, bystre oczy i twarz wybladłą i pomarszczoną.

– Juźci, że mam. Panienka kazała mi przyjść do pokoju, kazała list oddać i kazała grzecznie się kłaniać państwu, he! he...

– I zdrowa panienka, co?

– Musi być, co tam o tem w liście stoi, alem widział, że sielnie bledziuchna na gembie, kiej miesiąc na nowiu, i tak miętko gada, com ledwie usłyszał. Pytała się mnie, czy dawno służę u państwa? – he! he! – śmiał się cicho, bo mu się dziwnem wydawało, że ona nie wie – przecież cały świat wiedział, nawet w Miechowie Żydzi wiedzieli, że się on u nich chował od dzieciństwa. – Pytała się, czy starsza pani, to niby gospodyni, zdrowa? Pedziałem, że zdrowa. Kazała się kłaniać i przyszedłem.

– Nic więcej nie mówiła? – spytała się, bo ogromnie lubiła wypytywać ludzi.

– He! he!.. a dyć mówiła: Jak się nazywacie? A Bartek! odrzekłem. A dawno służycie? A zawsze, pedam, he! he... A starsza pani zdrowa? – powtarzał wkółko.

– Bartek, idźże do kuchni, pomożesz Magdzie zanieść świniom, a potem pójdziesz do kopców, tylko się nie gzij, bo zobaczysz... – pogroziła mu.

Bartek torbę powiesił w sieni i poszedł, ale powrócił zaraz, miał czapkę w ręku, drapał się po głowie, przestępował z nogi na nogę i nieśmiało patrzył się na starą.

– Czego chcesz?

– A to... możeby pani gospodyni – pochylił się i pocałował ją w kolano – wstawili się do pana dziedzica, bo mi się cosik we łbie pokręciło i te listy, co mi dziedzic dali na pocztę, pójdą na maszynę dopiero jutro, a bez to dopiro jutro pójdą nie dzisiaj, że pan dziedzic powiedzieli: modry na maszynę, a biały do naczelnika. Baczyłem do lasu, ale potem tak mi się we łbie pokielbaśiło, że myślałem, co modry la naczelnika, a biały na maszynę, inaczej ich dać nie chciałem. Naczelnik mnie skrzyczał, bo modry był na maszynę, a biały do naczelnika! Baczyłem do lasu, a w lesie to mi się widziało, że modry był...

– Dobrze, dobrze – przerwała mu prędko, bo nie zrozumiała, o co mu idzie. Odstawiła pierze z gazetami i listami, które wzięła przez czerwoną zapaskę samodziałową, jaką była opasana, przeszła kuchnię i tym gankiem krytym poszła do dworu, do pokoju syna, położonego na piętrze, w rogu domu. Szła cicho przez wspaniale kiedyś urządzone pokoje, pełne jeszcze starożytnych, stylowych mebli, malowideł i złoceń na sufitach poczerniałych, obrazów zakurzonych na ścianach.

Dwór był prawdziwie pański, Grzesikiewicz kupił go na licytacji ze wszystkim, co w sobie zawierał, bo majątek ogromny obszarem ziemi i lasów, po śmierci właściciela, który się zastrzelił w przystępie obłędu, poszedł pod młotek na rzecz niezliczonych wierzycieli. Starzy Grzesikiewiczowie mieszkali w oficynie; dwór był za wielki i za paradnie urządzone dla nich, nie umieli chodzić po posadzkach i dywanach, ani też poruszać się wśród aksamitów, jedwabów, bronzów i wielkopańskiego, wytwornego wykwintu; czuli się w tym domu skrępowani, jakby w kościele. Andrzej tylko zajmował dwa pokoje na piętrze, bo stamtąd miał całe podwórze i kawał

pół na oczach, a reszta stała pustkami. W jednej połowie poskładano wszystkie meble bezładnie, a druga służyła za śpichlerz, skład uprząży i starego żelastwa.

Stara szła wolno, unosiła nieco szarej, beżowej sukni, bo kurz grubą warstwą pokrywał dywany i posadzki, i oglądała uważnie pokój po pokoju, wybierając w myśli mieszkanie dla przyszłej synowej. Dom cały, pomimo nagromadzonych w nim wspaniałości, mroził smutkiem i opuszczeniem. Wiele okien było pozabijanych deskami, w wielu szyby pozaklejane papierem, albo zapchane słomą; sprzęty koszlawe, bez nóg, z fornirami poodklejanymi, wyglądały niby najędzniejsze kaleki w żydowskim składzie mebli. Marmurowe, rzeźbione kominki, o kratkach ze złoczonego brązu, zarzucone były śmieciami. Ciężkie, aksamitne z adamaszków jedwabnych portjery zwieszały się w niektórych drzwiach oderwane; wiele obrazów wyleciało z ram i leżało w kurzu; tynki odpadały i tworzyły warstwę szarą na konsolach luster wspaniałych, zasnutych pajęczyną, martwych, na stołach inkrustowanych różnokolorowem drzewem i miedzią złotoną.

W wielkim pokoju od ogrodu, oświetconym przez dwa weneckie okna, dawniej jadalnym, obstawionym kredensami, wyłożonemi dębowymi, rzeźbionymi boazerjami, leżały stosy cebuli, a na stołach dębowych, o wspaniałych blatach, pokrytych mozaiką z jasnego drzewa, czerwieniły się poukładane rzędem pomidory, wystawione tutaj na działanie słońca. Oszklone, szerokie drzwi prowadziły na taras, otoczony balustradą żelazną, kutą ręcznie w wielkie lilje; z tarasu kamienne schody, połupane, powybijane z obsad, prowadziły na trawniki. Grzesikiewiczowa popatrzyła na czerwone georginje, dogasające ostatnimi kwiatami, na żółte nagietki i blade ślasy, które rosły w klombach dziko i odradzały się same z każdą wiosną, na długie, powyginane, pełne wysepek jezioro, ciągnące się od samego prawie tarasu i przez cały park, pełen starodrzewia, wzgórz sztucznych, grot, posągów potrzaskanych, ulic obsadzonych przystrzyżonemi grabami, aż do rzeki. Poodwracała część pomidorów i poszła na piętro, do syna. Mieszkanie Andrzeja utrzymane było przyzwoicie, miało czyste firanki i całe meble, ale czuć w niem było, że tutaj się tylko sypia, a nie myśli, nie żyje; taki stamtąd wiał chłód i tak poprawnie stały meble. Na długim biurku pełno było papierów i ksiąg gospodarczych, słoików z próbkami sztucznych nawozów, rysunków, próbek ziemi i kilka retort. Stara pookurzała wszystko starannie, poprawiła pościel na łóżku i patrzyła długo na list Janki, opatrując go ze wszystkich stron. Przyglądała się ciekawie pismu z tą jakąś czcią i szacunkiem, z jakim się patrzy na nie chłopi, bo sama nie umiała pisać, ani pisanego czytać; czytywała tylko na swojej książce do nabożeństwa. Położyła list na biurku, w widocznym miejscu, pogładziła go pieszczotliwie, jakby Jankę głaskała i, uśmiechając się z radości, zesza zpowrotem do oficyny. Zabrała pierze i zaniósła do swojego pokoju, położonego zaraz przy sieni, z którego okna wychodziły na podwórze i na warzywny ogród. Przymknęła lekko drzwi, aby słyszeć, co się dzieje w kuchni, i drobnymi kroczkami spacerowała po przecinającym pokój chodniku samodzielnym, w poprzeczne białozielone i czerwone pasy. Pokój miał podłogę prostą, z oheblowanych desek sosnowych, lśniących prawie od białości, i ściany wybielone wapnem z niebieską obwódką pod sufitem. Trzy rzędy obrazów świętych, we wspaniałych, złotych ramach, wisiały na ścianach, a nad łóżkiem ogromnym, mahoniowem, przyniesionem ze dworu, zasłanem pierzyną i stosem poduszek i jaśków w białych powłoczkach, wisiał obraz Matki Boskiej, przysłoniony muślinową firaneczką i otoczony kilkunastu obrazkami, przyklejonemi do ściany. W rogu izby starożytna, wykładana bronzami, komoda dźwigała dwa olbrzymie bukiety z papierowych róż żółtych i czerwonych, wstawionych w obtłuczone nieco wazony, pomiędzy którymi stała czarna, prosta pasyjka, opleciona różańcem, a nad komodą, aż do sufitu, wisiały obrazki, otaczające wielkiego, z kości słoniowej, Chrystusa, rozpiętego na hebanowym krzyżu. Niebieska lampa na poczerńiałym łańcuszku paliła się przed krzyżem nieustannie.

– Anusia! – zawołała do kuchni – naszykuj dla starszego pana podwieczorek.

– O, pani! Prawdziwa pani! – myślała, uśmiechając się słodko na wspomnienie Janki. Pośliniła palec i pogładziła włosy, gładko rozczesane nad czołem, okryła się kraciatą chustką, wzięła kij, zajrzała do sąsiedniego pokoju i podreptała do kuchni. Sama krajała chleb dla służby i, wzięwszy

naszykowany już podwieczorek dla męża, poszła w podwórze. Zajrzała najpierw do chlewów, przerobionych z dawnej psiarni.

– Magda! toście tak żreć dawali, co? Połowa kartofli na ziemi, nie w korycie.

– A to maciora wyrzuciła ryjem, niech gospodyni patrzą, jak wyrzuca.

– Maciora! Ty tłomoku jeden, już nieraz widziałam, jak ty dajesz im jeść – krzyczała piskliwie i zaczęła rękami zbierać z ziemi kartofle z ospą i wrzucać do koryta. – Powiem panu dziedzicowi, to jak cię kijem przeleje trochę, to zaraz będziesz uważała, gdzie kłaść, zaraz zobaczysz koryto. Próźniaki! szelmy! – mruzczała. – Bartek! zanieś starszemu panu do buraków, a żywo!

Bartek zniknął za węglem z podwieczorkiem, a stara poszła dalej.

W podwórzu cicho było, tylko kilkadziesiąt kaczek trzepało się po gnojowiskach i stada kur rozgrzebywały śmiecie i słomę przed stodołami.

Wielkie, kudłate brytany, z rudawej sierści podobne do wilków, przykute przy drzwiach stajen, zaczęły się rzucać na łańcuchach i skomleć radośnie, pogłaskała każdego i weszła do środka, do żrebacków, zamkniętych w osobnej przegrodzie. Klepała ich po bokach, po karkach, głaskała i zaglądała do żłobków, a ujrawszy w drugim końcu stajni koniarka, krzyknęła:

– Michał! żrebacki siana nie mają, od czegoś ty próźniaku! – pogroziła mu kijem i poszła do kopców, sypanych w ogrodzie.

Kilkanaście fornałek woziło kartofle, które zsypywano w długie przyzmy. Stara szła przez ogród, zupełnie opuszczony, pełen odwiecznych drzew owocowych, pokrytych mchem, pod którymi stało kilkanaście pookręcanych słomą pni pszczoł.

Za ogrodem kilkadziesiąt kobiet, w jaskrawo czerwonych wełniakach i chustkach, kopało kartofle. Przysłoniła ręką oczy i patrzyła na młody zagajnik, przy którym biegła dróżka, wysadzona od pola brzoźkami, a rdzawe kiście liści wznosiły się na białych pniach i na tle mocno błękitnem zagajnika rysowały się, niby wielkie pawie pióra. Dróżką migotał bułanek Andrzeja.

W powietrzu była cisza zupełna; graby w parku ciągnęły się długimi, rudawymi pasami, wiśnie ciemnoczerwone liście zrzucały na ziemię, świeżo rozkopaną, i plamiły ją, niby płatkami krwi zastygłej. Wróble goniły się pod stogami owsa, a wrony całą bandą chodziły po kartoflisku i zrywały się na każdy głośniejszy odgłos śpiewów, jakie płynęły w powietrzu od kopiących. Wozy turkotały, czasem krzyk fornali rozlegał się głośniej, razem ze świstem bata, to głuchy odgłos zsypywanych na ubitą ziemię kartofli, albo jakaś pszczoła zabrzęczała cicho i siadała na liljowych, ostatnich astrach; młyn huczał gdzieś za parkiem jednostajnie. Senność zdawała się spływać ze światłem słońca i rozwłóczyła się nad ziemią obnażoną ze zbóż, rozkopaną, obdartą z roślinności, zmiętą i zmęczoną wysiłkiem wegetacji, ludzie i zwierzęta chodzili ociężale, nie leciały pokrzyki radosne nad żółkłemi trawami, nie szumiały drzewa prawie nagie, nie śpiewało ptactwo. Jesień pobrała barwy i siłę przyrodzie, na polach było szaro i pusto, tylko gdzie niedzie zieleniły się młode zboża, a od łąk rozbrzmiewał głuchy, bez echa, poryk bydła. Zamierało wszystko, zapadało w długi sen i odpocznienie.

A nie wierz chłopu, nie wierz,

A choćby najlepszemu... —

A bo cie wypróbuje,

A powie dziesiątemu...

Leciała zwrotka od kopiarzy, ale zaraz przepadła w ciszy i senności przestrzeni. Grzesikiewiczowa powróciła do domu, myśląc, że syna tam zastanie. Nie było go jeszcze.

VI

Na sam wieczór, kiedy już podwórze zaczynało nabierać życia, bo rozbrzmiewało beczenie owiec i spędzano bydło do obór, przyjechała Józia, córka Grzesikiewiczów, starsza od Andrzeja.

Przyjechała brekiem, ze stangretem, ubranym w liberję.

– Dobrze, żeś przyjechała – zaczęła stara, wprowadzając ją do swojego pokoju. – Zaraz ci coś pokażę.

Poszła śpiesznie do dworu i przyniosła list Janki.

– Patrz, list od panny Orłowskiej do Jędrusia.

Józia obejrzała list i dosyć niechętnie rzuciła go na stół.

– Cóż w tem ważnego? – szepnęła, podnosząc na matkę dwukolorowe oczy, bo miała jedno błękitne, a drugie żółtawe.

– Przecież to od panny Janiny – powiedziała z naciskiem, jeszcze raz przypatrując się listowi.

– Słyszę, nie potrzebuje mi mama powtarzać.

– Jędrus teraz to już się z pewnością ożeni.

– Jędrus jest... – nie dokończyła, zniżyła głos do szeptu. – Jędrus, żeby chciał, to mógłby się ożenić nie z taką, jak Orłowska. Młody jest przecie, wykształcony, bogaty.

– A juści! juści, że młody, że bogaty, że uczony, tyle lat był w klasach, juści, ale...

– Mogłaby mama tego „juści” nie mówić; to dawniej uchodziło jeszcze, ale dzisiaj...

– O, moja Józiu, co ci to szkodzi?

– Szkodzi, bo ludzie się z mamy śmieją.

– Tylko głupie się śmieją, mądre nie, bo wiedzą, że prosta, nieuczona kobieta jestem i przecież na starość uczyła się nie będę pięknego mówienia. A ty zawsze mnie musisz ugryźć: a matka tak niech nie mówi, a tak nie chodzi, a z matki ludzie się śmieją. Adyć, moja Józiu, choćbym gadała i ubierała się po pańsku, ludzieby i tak wiedzieli, że nie żadna pani jestem. Ty to se żyjesz, jak grafina jaka, a i tak wiedzą, żeś moja córka, i że twój ojciec był karbowym. Jest czem się dać. Jezus Marja! – szepnęła prędko i z pewną goryczą.

– Niech mama przestanie, bo zaraz odjadę – szepnęła Józia, złość zamigotała w jej oczkach, wyprostowała swoją wyniosłą, majestatyczną postać i zmierzała ku drzwiom, ale się rozmyśliła i usiadła na kanapce drewnianej, plecami do okna.

– Czy Andrzej się już oświadczył? – zapytała prawie obojętnie.

– Jeszcze nie, ale że napisała do niego sama, to juścić, że wszystko musi być dobrze pomiędzy niemi. Jędrus tam jeździł codzień podczas jej choroby, ale pono już wyzdrowiała. Chciałabym, żeby się ożenił z nią – uśmiechała się tkliwie. – Taka pani, i ładna, i dobra. Przecież jak łoni, zeszłego roku – poprawiła się, bo Józia syknęła – spotkałam ją w lesie, to pocałowała mnie w rękę! a przecież prosta kobieta jestem – dobra, o, dobra panienka!..

– Dobrze tylko liczy. Przecież takiego, jak Andrzej, męża, nie znajdzie drugiego. Niech mama zrozumie, że panny z najpierwszych domów poszłyby z chęcią za niego.

– Mówisz! a nie jeździł to do panny Zielińskiej, albo do Owińskiej, co? i napróżno.

– To on był temu winien, bo nie umiał się podobać – odpowiedziała i błysk triumfu zaświecił w żółtawem oku, błękitne świeciło zimno, jak lód bardzo przejrzysty, a po wąskich ustach prześlizgnął się uśmiezek niedostrzegalny.

– Nie to, ino tamte panny głupie, dufają, wierzą – poprawiła się – w swoje państwo. Jędrus, choć chłopski syn, ambicję swoją ma i honor, nie chciał łąścić się kole nich, kiej pies, i ja nie chciałam, bo jak mie spotkały w kościele, to se patrzyły na mnie bez te głupie szkiełka, kiej na zagranicznego robaka!.. A cóżto, cudak jaki jestem, czy co? – zatrzęsła się z oburzenia.

– Bo też mogłaby mama ubierać się inaczej. Co mama kładzie na siebie! fi! – Wstała i zaczęła matkę wykręcać na wszystkie strony i oglądać z politowaniem. – Zapaska, beżowa suknia, wawony,

barchanowy kaftanik, chustka za pół rubla na głowie, fi!.. mogłaby mama w tym kostjumie stać za szynkasem. Co? i ciżemki na nogach za dziesięć złotych! hi! hi! hi! paradne, jak dzieci Kocham. Moja gospodyni... – nie skończyła, odsunęła się i, zatykając nos, szeptała pogardliwie: – ależ mamę czuć oborą i chlewami, to już chamstwo!..

– A ta panna Orłowska – ciągnęła stara, nie obrażając się, ani zważając na słowa córki – to całkiem inna, całkiem. Uczona też jest i bogata. Prawdziwa pani, a Jędrusiowi jużby czas wielki był się ożenić, bo ja stara, niedługo oczy zamknę i coraz mi ciężiej doglądać gospodarstwa.

– Czemu mama nie weźmie sobie gospodyni?

– Trzeba jużcić płacić, a po drugie, bo to obca dojrzy, bo to się można spuścić na nie.

– Mama myśli, że Orłowska zajmowałaby się gospodarstwem?

– A niechby ta i nie, aby tylko była. Tak, niech ta se siedzi cały dzień w pałacu, czyta po francusku, abo i gra na fortepianie, od tego przecież ona pani. Jużbym ja jej rączków nie dała umorusać robotą, nie. A taka szlachcianka, taka pani synowa, to nie honor, co? – Uśmiechała się, wodząc rozpromienionym wzrokiem po okrągłej, mocno wypudrowanej twarzy córki, zacinającej usta, żeby nie wybuchnąć złym, drwiącym śmiechem. Żółte oko świeciło nienawiścią i biegało po pokoju, gdy tymczasem błękitne trzymała utkwione w matce.

– Zawsze co pani, to pani. W pałacu tyle dobra jest i marnieje wszystko, a ona umiałaby się w tem obracać.

– Dlaczegoż mi mama nic nie chce dać z tych gratów? Dla bratowej i tak starczy.

– To Jędrusia, przecież wiesz, że to wszystko Jędrusia. Ojciec, jak kupił, chciał śpichrz zrobić z pałacu, a meble sprzedać, ale się z Jędrusiem jakoś porachowali, że teraz pałac i wszystko, co w nim jest, jego. Ja ci dać nie mogę z tego, nie mogę. – Zaczęła energicznymi ruchami zaprzeczać możliwości dania czegokolwiek, bo Józia często ją o to nagabywała.

– Niech się mama nie boi, zostanie wszystko dla Jędrusia, bo przecież tylko Jędrus jest dzieckiem, tylko Jędrus potrzebuje, tylko o Jędrusiu się myśli i dla Jędrusia się zbiera.

– A tybyś chciała wziąć sama wszystko. Masz już po zęby, a najeść się nie możesz; to nawet grzech takie łakomstwo, Pan Bóg cię jeszcze za to skarże, zobaczysz...

– Niech-no mama te przepowiednie zostawi na później, a teraz może dostanę co jeść, bo wyjechałam z domu przed kawą.

Stara popatrzyła na nią niechętnie i poszła do kuchni.

Józia siedziała nieruchoma na kanapce i ze złości zaczęła gryźć i szarpać rękawiczki. Zaczęła pracować mózgiem usilnie, jakby przeszkodzić temu małżeństwu, które mogło popsuć jej najtajniejsze plany i najgorętsze marzenia. Nie chciała, żeby się Andrzej ożenił, bo w przyszłości widziała się już panią całego majątku. Popsuła Andrzejowi opinię we wszystkich dworach, gdzie były panny, z pomocą Osieckiej, która była jej najlepszą przyjaciółką i pomocnicą. Była głęboko uradowana na wiosnę, dowiedziawszy się, że Janka odmówiła bratu, a jeszcze głębiej, gdy się dowiedziała o jej wyjeździe z Bukowca i wstąpieniu do teatru; wtedy, przy każdej sposobności, w formie współczucia i politowania, rozmawiała o niej z Andrzejem. – Znowu wchodzi mi w drogę! – pomyślała, uklękła na kanapce, oparła się łokciem o parapet okienny i utonęła w męczącej pracy myśli, wynajdywaniu środków, jakimi należy przeszkodzić temu małżeństwu. Patrzyła w ten zmrok czerwony, pełen refleksów miedzianych, zórz pozachodnich i smug fioletowych, i gwarów kończącego się dnia, co już rozwłóczył się nad ziemią, ogarniał pola, okrywał niskie krzewy i pnie topoli, i wpływał do pokoju mętym, szarym tumanem, porysowanym konającymi na złotych ramach obrazów błyskami. – Nie dam! – szeptała, zaciskając pięście. – Nie dam! – i zawzięta, chciwa jej dusza zacięła się w gniewie. Żółte oko zaczęło drgać newralgicznie i sypać iskrami, błękitne świeciło martwo i groźnie. Nienawidziła Janki całą mocą swojej dzikiej, chłopskiej duszy, jak nienawidziła wszystkiego, co było pięknem i wyższem.

Służąca wniosła kawę i lampę, bo już w pokoju zupełnie ciemno się zrobiło.

Józia oderwała się od okna, włożyła na nos niebieskie binokle, żeby ukryć oczy pod niemi i z założonemi na plecach rękoma spacerowała po pokoju.

– Irenka pisała? – zapytała matka, nalewając kawę z dzbanuszka.

– Pisała, całuje mamę i ojca. Na Boże Narodzenie przyjedzie. Przełożona dopisała się do listu i donosi, że Irenka bardzo dobrze się uczy – opowiadała żywo Józia, siadając przy stole, poruszona przypomnieniem córki, która się uczyła u sercanek lwowskich. Rozpromieniła się i zapomniała o wszystkim, tylko opowiadała nieskończone szczegóły o dzieciach swoich, bo miała jeszcze syna, umieszczonego w jakimś specjalnie arystokratycznym pensjonacie wiedeńskim. Dzieci były jej dumą, marzeniem i pociechą, bo czuła się zawsze nieszczęśliwą; to jej pochodzenie, którego się wstydziła, było dla niej ciężkim jarzmem w całym życiu. Była dumną, mściwą, zazdrosną i chciwą. Wiedziała, że, pomimo znacznego majątku, okolica, to jest cała dawno osiadła tutaj szlachta, traktuje ją, jak córkę byłego szynkarza i owczarza, i to ją głęboko bolało. Upokarzał ją własny mąż, ekonom, za którego wydali ją rodzice jeszcze wtedy, kiedy stary Grzesikiewicz handlował wełną i owcami, kiedy jeszcze nikt nie przewidywał jego z bogaceniem się, bo pomimo kostjumów, w jakie ubierał się go zmuszała, pozostawał zawsze prostym, ordynaryjnym ekonomem, umiejącym zaledwie czytać i pisać.

– Andrzej wie, że Orłowska była całe cztery miesiące w Warszawie? – zapytała wkońcu, skombinowawszy jakiś plan.

– Jakżeż, przecież tam jeździł więcej niż dziesięć razy latem.

– Do niej? – zapytała, udając zdziwienie, bo o wszystkim wiedziała doskonale.

– Juści tego nie wiem, bo mi nie pedział, nie powiedział – poprawiła się śpiesznie – ale tak sobie kalkuluję.

– Pewnie, że tak. Mama wie, co ona robiła w Warszawie?

Przecież Jędrus mówił, że uczyła się.

Józia wybuchnęła śmiechem tak serdecznym i długim, aż czerwona, pomimo pudru, jej twarz pokryła się sinawemi plamami.

– Mama jest łatwowierna, mamie wszystko wmówić można, i gdyby Jędrus powiedział, że Orłowska pojechała na księżyc, to mamaby uwierzyła.

– A dlaczegóżby nie? Pocóż Jędrus miałby cyganić przede mną?

– Poco?.. bo się wstydził powiedzieć, że ta panna Janina, ta prawdziwa pani, ta szlachcianka z edukacją, była komedjantką.

– Komedjantką? – zapytała stara, nie rozumiejąc dobrze.

– A tak. Taka, jakie widziała mama w Miechowie, co to jeździły na koniach i przewracały koziołki; pamięta mama, te w koszulach tylko.

– Jezus Marja! Józia, co ty mówisz? – wykrzyknęła, załamując tragicznym ruchem ręce. Stanęła przed córką i ze zgrozą jakąś, litością i smutkiem patrzyła na nią.

– Prawdę mówię, niech się mama spyta Andrzeja, niech się mama spyta, kogo chce. Na stacji wiedzą najlepiej, zresztą, cała okolica wie dobrze.

– A nie, nie uwierzę, nie, bo pocóżby ona poszła do tych komedjantów? Ojca ma, pieniądze ma, porządna kobieta, nie, nie. – Zaprzeczała energicznie i szybko odzyskiwała wiarę, zachwianą na chwilę. – Taka pani i poszłaby do takich małpów, i poco? – pytała się, nie mogąc zrozumieć.

– Mówili różnie, poco? przecież porządna panna, jeżeli się jej trafia iść zamaż za takiego człowieka, jakim jest Jędrus, toby wyszła, a ona nie chciała... tylko zaraz potem uciekła z domu. Mama wie dobrze, co wyrabiał Orłowski, że o mało nie zwarzjował ze wstydu.

– Prawda, prawda... ale bez co ona poszła do komedjantów? – pytała stara, i znowu fala wątpliwości i goryczy przepełniła jej serce.

– Może nie mogła iść za Jędrusia, i musiała uciekać z domu! mówią nawet, że Orłowski ją wygnał!.. – szeptała znacząco Józia, nie patrząc na matkę, która połykała te słowa, jak ogień palący zgrozą.

– Józia, co ty mówisz, jeszcze kto usłyszy? – obejrzała się odruchowo na drzwi i okna.

– Nie będę powtarzać, co wszyscy mówią i wiedzą, ale jak była w domu, to przecież włóczyła się sama po lasach, sama jeździła do Kielc. To porządna panna tak powinna robić, co? Nigdzieby jej za próg nie puścili do porządnego domu. A co robiła w teatrze? Dlaczego się truła?.. przecież napół żywą przywiózł ją stary do Bukowca, leżała w szpitalu, pisały o tem gazety.

– W szpitalu była! truła się, pisały o tem gazety! – powtarzała stara zbladłemi, trzęsącemi się ustami, i łyzy, niby groch, posypały się jej z oczu na watowany kaftanik.

– Wszyscy o tem wiedzą. Nikt nie wie, dlaczego się truła, ale przecież to nietrudno się domyślić, o, wcale nietrudno... – szeptała cichym, przenikającym głosem, i zły uśmiech odsłonił jej ostre, psie zęby.

– Nie, nie!.. – protestowała znowu stara. – Jedź już ty sobie, jedź. Nie przywieziesz ty nigdy żadnej pociechy, tylko, jak djabeł, zmartwienie albo złość.

– Prawdę przynoszę zawsze; przekona się mama jeszcze o tem – powiedziała twardo. Podniosła się, włożyła kapelusze zielony z jasnym piórkiem, okryła się długim burnusem i chciała na pożegnanie pocałować matkę w rękę, ale stara usunęła się śpiesznie. Józia kiwnęła jej pogardliwie głową i wyszła.

Grzesikiewiczowa stała wciąż, nie mogąc zgnieść w sobie żalu i oburzenia. Dygotała, bo jej gmach szczęścia, o którym tak dawno marzyła, rysował się i groził rozsypaniem. Janka! ta Janka, której tak pragnęła za synową, byłaby taką... Ta pani... szlachcianka, którą jej Jędrus tak kochał... Nie, nie... to nieprawda. Jędrusby wiedział, on taki mądry i uczony... Tak, to z pewnością nieprawda, co ta Józia mówiła – wmawiała w siebie. – Z pewnością nieprawda. A, suka! aby tylko ugryźć – szepnęła z gniewem, spoglądając oknem za córką, na brek okrażający klomb i ginący pod wspaniałą arkadową bramą. Uspokoiła się nieco, ale w głębi wiły się wątpliwości z pragnieniem, żeby to była nieprawda; jej prosty, chłopski mózg nie mógł pojąć, nie mógł zrozumieć nawet istnienia przyczyn, skłaniających takie kobiety, jaką była Janka, do wstąpienia do teatru i do popełnienia tego, o co ją oskarżała Józia; ale jednocześnie chłopska podejrzliwość świdrowała ją boleśnie. Długo się biedziła temi pytaniami i, nie mogąc doczekać się syna, poszła w podwórze.

Aż w oficynie słyhać było jej gderliwy, cienki głos; krzyczała na parobków, na dziewczki, na dwórki, dojące krowy. Zaglądała wszędzie: do świń, do żłobów końskich, do owiec, do kur i gęsi; oglądała zamki w śpichlerzu i stodołach, i co chwila głos jej gniewny rozlegał się w innej stronie.

Poszła ku kopcom, gdzie, pomimo ciemności, kończono okrywanie kartofli, bo stamtąd ją doszedł potężny głos syna, krzyczącego na Bartka, który stał z czapką w rękę i starał się tłumaczyć płaczącym głosem.

– Coś mi ty narobił, chamie jeden! Nie powiedziałem ci wyraźnie, nie tłumaczyłem po kilka razy, że niebieski list wrzucisz do pociągu, a biały oddasz naczelnikowi, co?..

– Jaśnie panie, były dwa listy: biały i modry. Juści, że baczę, co jaśnie pan kazali, modry na maszynę, a biały dla pana naczelnika.

– A czemuś tak nie zrobił? – zapytał Andrzej łagodniej, spostrzegłszy nadchodzącą matkę.

– Zapomniałem. Wyszedłem, tom baczył do samego lasu, pamiętałem ciągiem, co biały do naczelnika, a modry na maszynę; ale już w lesie cosik mi się pokiełbasiło, i stawał modry we łbie tam, gdzie przódzi był biały, i nie wiedziałem dokumentnie, który gdzie trza oddać, a kiej przyszedem na stacje, to mi się kuniecznie widziało, co modry do naczelnika, a biały na maszynę. Ja, jaśnie panie, baczyłem dobrze, ino pod lasem wrony krakały, śmignułem na nie kamuszkim i poszedem, i do samego lasu ciągiem se przepowiadałem: modry na maszynę, biały do naczelnika; a w lesie to mie jakoś zamroczyło, i myślałem już: biały abo modry na maszynę, tak, modry abo biały la naczelnika. A na stacji... jaśnie pan mi darują, ale do lasu myślałem: biały, biały, biały – naczelnik, naczelnik...

– Idź do djabła! Zaprowadź bułanka do stajni! Odpowiedź przyniosłeś?

– Oddałem pani gospodyni.

– No, ruszaj! – krzyknął, oddając konia, który stał przy nim spokojnie.

– Jaśnie panie! – szeptał przez łyzy Bartek. – Do lasu dobrzem myślał: biały, biały – juścić biały...

– Wynoś się, idjoto! Wytrzymaj konia i okryj go na noc derką.

Bartek zniknął w mroku, ciągnął za trzęźłę konia, drapał się po skłopotanej głowie i mrucał:

– Jezus! to te zapowietrzony gapy, za to, com na nie śmignął kamieniem. Jeszcze do lasu myślałem: biały, biały, w lesie, abo modry, abo biały... Lo Boga, to nic inszego, ino te gapy dur rzuciły na mnie.

Andrzej wydał ostatnie polecenie i razem z matką powracał do domu. Stara spoglądała na niego tajemniczo i cicho powiedziała:

– Jest list od panny Orłowskiej.

– A mówił mi ten idjota, Bartek. – Zaczął iść prędko, niecierpliwość go porywała.

– Jędrus, bo nie zdążę, już mi tchu brak.

Zwolnił kroku, ujął matkę pod ramię i prowadził troskliwie.

– Józia dopiero co odjechała – zaczęła stara, nie wiedząc, w jaki sposób opowiedzieć mu to, co słyszała od córki. Spoglądała na niego co chwila, i nieśmiałość, a zarazem jakaś matczyzna miłość zamykała jej usta.

– Nie jedzie do Warszawy, nie wspominała mamie?

– Nie, ale dużo mi opowiadała o pannie Janinie – rzuciła drżącym głosem.

– Może mi mama nie powtarzać, znam dobrze Józję i wiem, co mówić mogła. Wiem, że nie zostawiła na pannie Orłowskiej i jednej suchej nitki, ani jednej białej centki. Znam dobrze tę jęźdę!

Stara odetchnęła, bo jeśli on wszystko wie i chce się z Janką żenić, to, co jej Józia opowiadała i kazała się domyślać, musi być nieprawda; tak ją to serdecznie ucieszyło, że zaczęła na Józję się skarżyć.

– A taka chciwa, że aż wstyd. Wszystkoby ino brała i ciągiem się ze mnie śmieje.

– Lubi brać, w przeszłym tygodniu była w pałacu, prosiła mnie o dwa lichtarze z brązu. Nie dałem, ale i tak, wychodząc, zabrała je pod okrycie. Mniejsza o to, ale mama powinna jej zabronić wstępu do pałacu, kiedy mnie tam niema. Okropna kobieta, kłóci się z całym światem, okolica cała się jej boi, bo jak kogo weźmie na język, to go tak obrobi, czy winien czy nie, że strach, a przy tem w domu ciągle piekło; ten biedny Ignacy, to już bez głowy chodzi.

Weszli do mieszkania.

Rozerwał gorączkowo kopertę i pożerał list oczyma; fala krwi oblała rumieńcem radości jego jasną twarz, o regularnych, mocno ciętych rysach, zakończonych płową czupryną. Zaczął skubać i przygryzać wąsy, czytał list po kilka razy.

– Przeczytaj, Jędrus, głośno, i ja radabym wiedzieć – prosiła stara, dotykając listu delikatnie.

Czytał. Matka rozradowała się zupełnie. Wszystkie podejrzenia, wątpliwości topiły się, jak śnieg pod wpływem wiosennego słońca, radość przejęła jej serce i szczęście świeciło w jej białej, niby z blichowanego wosku, twarzy.

– Teraz to mi się widzi, że się z nią ożenisz, a czasby, Jędrus, czas! – westchnęła.

– Ożenić się, mamó, jeżeli mnie tylko zechce, to się zaraz ożenię. – I jakaś radosna pewność przejmowała go słodkim uczuciem zadowolenia. – Będzie mama mieć synową, będzie.

– I wnuczki, Jędrus?

– Będą i wnuczki! – wołał ze śmiechem, całując matkę po rękach.

Przycisnęła mu głowę do piersi.

– Stara kobieta jestem i wnuczków mi kuniecznie trza, kuniecznie twoich dzieciątek, Jędrusiu! bo te Józine, to jakieś nie nasze, babki nie rozumieją, i takie jakieś, kiejby zagraniczne.

Jędrus zaczął snuć plany przyszłości i tak mówił wiele, że stara rozpływała się w radości, bo się nigdy nim dostatecznie nasycić nie mogła. Zawsze czas przepędzał za domem, przy gospodarstwie, wpadał tylko do rodziców jeść, zamieniał po kilkanaście słów i zniknął. Lecz teraz, zamiast iść do siebie lub jechać do Witowa, gdzie często przepędzał wieczory, siedział z matką i rozmarzonym głosem opowiadał o Jance i o przyszłości. Dotykał ręką piersi, na której list Janki spoczywał, chodził, siadał, opierał głowę na krawędzi stołu i snuł cudną przedzę marzeń.

Matka siedziała w swoim starym, podartym fotelu i robiła pończochę, pochylała się nad nią chwilami, aby znaleźć zgubione oczka, i podnosiła siwe oczy na Andrzeja, promieniała jego szczęściem i słuchała. Przerwał im turkot bryczki.

– Ojciec przyjechał.

Parobek przeprowadził starego tak pijanego, że ledwie się włókł na nogach, do sąsiedniego pokoju, który był jego pokojem i zarazem służył za jadalnię. Stary upadł na głęboki fotel i dyszał ciężko, zgrzytnął zębami, uderzył w poręcz ręką i syknął:

– A, boli! niech cię psy zgryzą, będzie jutro plucha... a, boli!.. kazałeś zakryć kopce?

– Kopanie skończone.

– Byłem w lesie, bo się zjechało dużo ludzi po drzewo. A... to jak świderkiem, tak mi w kościach wierci. Matka, dajno gorzałki, zaleję tego psa wściekłego, co mnie gryzie, jak Boga tego kocham.

– Musiał go ojciec dosyć już zalewać w lesie – szepnął z goryczą Andrzej.

– Cicho, synku! cicho! Widzisz, tak było: strzyknęło mnie coś w nogach, posłałem Walka po gorzałkę, i co mnie kołło tylko, zaraz kieliszek nalałem na tego robaka podłego, aż mnie rozkołały obydwie nogi. Jędrus, sprzedałem tę zmurszałą! – zawołał radośnie, rozcierając kolana.

– Prosiłem ojca, żeby nie sprzedawać, znowu ojciec oszukał kogo.

– Cicho, synku! zapłacili jak za najzdrowsze drzewo. Ho! ho! Niemiec myślał, że mnie oszwabi, a ja go wziąłem! a jucha Szwab, jucha! Matka, dajno gorzałki, bo boli – zaczął zgrzytać zębami, głowa mu opadła na tył fotelu, twarz posiniała nagle i pokryła się potem, krzywił się okropnie i przewracał oczyma. – Matko, daj wódki! – jęczał.

– A juści, chcesz się dopić królestwa niebieskiego? Doktor ci nie powiedział, co byś ani wódki, ani żadnych jenszych trunków nie pijał, co? Już masz tyle, że ani kropli ci nie dam!

– Matka, daj wódki, mówię ci, bo jak Boga tego kocham... – grzmotnęła pięścią w stół, aż szklanki i talerze podskoczyły, zgrzytnął i wyprężył się z jękiem.

– Niech mama nie daje! – zawołał Andrzej, widząc, że matka obciera łzy, ale i szuka kluczyków od szpizarni. – Jeżeli ojciec nie dba o swoje zdrowie, to myśmy powinni.

– Mądryś, panie synie, mądryś! Jutro się wyprowadzę do Józi, kiedyście tacy, już ona da mi tyle wódki, ile tylko wypiję. Już ona wiedzieć będzie, kto ja jestem – mrucał coraz niezrozumiałej. – Pan jestem. Jaśnie Pietrz dziedzic jestem!.. to mnie słuchać!.. juchy... słuchać, bo wygonię na cztery wiatry!.. jak Boga tego kocham!.. Matka, daj wódki!.. Jędre!.. ej, Jędre!.. Jędre, mówię ci, wara ode mnie... wara... bo... – zgrzytnął zębami, bełkotał coś jeszcze sennie i zasnął.

Andrzej przeprowadził go do łóżka. Służąca chciała mu zdjąć zabłocone buty, ale tak kopał i krzyczał przez sen, że musiała dać spokój. Od paru lat chodził spać, nie rozbierając się, bo zawsze wieczorem był pijany. Cały dzień wódki do ust nie brał, ale pod wieczór, lub przy kolacji, upić się musiał.

Stary, pomimo niesłuchanego sprytu i rozumu, był chamem w ujemnym tego słowa znaczeniu, i nic go nie było w stanie przerobić. Jeszcze dawniej, kiedy potrzebował częściej prowadzić rozmaite sprawy z ludźmi, maskował się i starał się ukrywać swoje kanty, ale w ostatnich latach, gdy zarząd całym majątkiem prowadził Andrzej, nie krępował się w niczem. Pijał z chłopami po karczmach, okpiwał, bo mu to wielką sprawiał przyjemność; śmiał się ze wszystkich i wszystkiego urągłiwie, rozpierany potęgą swojego majątku, który wzrastał corocznie, bo nie wydawali i połowy dochodów.

Andrzej wkrótce poszedł do swojego mieszkania.

Cichość ogromna zapanowała nad światem, wszystko umilkło i posnęło w całym domu, tylko psy czekały gdzieś na wsi i młyn szumiał głucho. Noc ciągnęła się długo. Andrzej prawie do samego rana przechodził po swoim pokoju, rozmyślając o przyszłości i o tem jutrzejszym widzeniu się z Janką. Postanawiał w najkrótszym czasie ponowić oświadczenia.

VII

Józia wróciła do domu w wesołym usposobieniu. Mieszkali tylko o cztery wiorsty, w Ługach, wielkim folwarku, dzierżawionym od ojca, bo stary dzieciom nic nie dawał darmo. Józi tanio nawet wydzierżawiał Ługi, mające coś z pięćdziesiąt włók, a Andrzejowi za zarząd całym majątkiem płacił pensję.

Dwór w Ługach był wielki i urządzony z przepychem niezmiernie prostym, uderzający swoją wytwornością. Służby było niewiele, ale tak wytresowana i poważna, i z taką godnością spełniająca swoje obowiązki, jak rzadko gdzie w naszych dworach. Józia wszystkich trzymała żelazną ręką. Mąż zakrzyczany, styranizowany, słuchał ślepo i w milczeniu spełniał wszystkie rozporządzenia; był tylko ekonomem u własnej żony, która na gospodarstwie znała się tak znakomicie, że nieraz sąsiedzi zasięgali jej rad i pomocy.

Zajechała przed dom oświetlony w jednej połowie, rzuciła lejce stangretowi i przez ganek, wsparty na ogromnych słupach, okręconych pędami dzikiego wina, weszła do wielkiego przedpokoju. Lokaj w piaskowej liberji z czarnym zerwał się na jej wejście.

– Pan w domu? – rzuciła mu zapytanie razem z burnusem i kapeluszem.

– Jaśnie pan jest jeszcze w podwórzu – rzekł, prostując się uroczyście.

Poszła do pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Przy stole okrągłym, oświetlonym wiszącą lampą, siedziała chuda, mała, o długiej twarzy, przenikliwych, czarnych oczach, kobieta lat czterdziestu kilku, otoczona gazetami i książkami.

– Fifi, każ dawać kolację, głodna jestem, mamusia poczęstowała mnie kawą tak obrzydliwą, że mi się słabo robiło – zaczęła Józia, siadając w fotelu na biegunach; rozkołysała się gwałtownie.
– Co, znowu czytasz głupstwa?

Fifi, stara nauczycielka, jej powiernica i sprzęt, na którym wywierała nieraz złość swoją, złożyła śpiesznie powycinane świeżo feljetony i podniosła się.

– Idź prędko, a nie zgub nogi! – zawołała złośliwie, bo Fifi utykała i, idąc, kołysała się gwałtownie na jedną stronę.

Zadzwoniła. Wszedł lokaj i stał przy drzwiach wyczekująco.

– Idź w podwórze, poszukaj pana i powiedz, że ja proszę.

Lokaj zniknął cicho, a ona zaczęła znowu się bujać na fotelu i rozmyślać o sposobach przeszkodzenia małżeństwu Janki z Andrzejem.

W pół godziny jakie przyszedł lokaj i, nachylając się lekko, mówił:

– Jaśnie pan pyta się, czy może przyjść do jaśnie pani tak, jak przyszedł z podwórza.

– Nie! – ściągnęła gniewnie brwi i błysnęła okiem. – Cham! – szepnęła pogardliwie. Zmuszała męża, żeby, przychodząc od gospodarstwa wieczorem, mył się i przebierał do stołu.

– Kolacja? – zapytała krótko panny Fifi powracającej.

– Zaraz będzie. Skończyłam *Stary Zamek*, prześliczna rzecz – mówiła Fifi z silnym akcentem francuskim. – Po kolacji zrobimy lekcje? – zapytała prędko, strwożona ściągnięciem brwi pani.

– Zrobimy! – i kołysała się dalej, nie patrząc na Francuzkę, która wyciągała książki i kajety, a na tych ostatnich robiła jakieś uwagi czerwonym ołówkiem. Józia w wielkiej tajemnicy uczyła się po francusku i była tak wytrwała, i takie postępy robiła, że Fifina zdumiewała się czasem. Nikt nie wiedział o tem, nawet mąż, że Józia uczy się po francusku, a postanowiła umieć, bo na balu u prezesa jedna z dam głośno zagadnęła ją w tym języku i z uszczypliwością zdumiewała się, jak może polska kobieta nie umieć po francusku. Józia wściekała się z bezsilnej złości i postanowiła się nauczyć. Szło jej straszliwie ciężko, ale przewyciężała trudności uporem, pasją, z jaką się wzięła do uczenia i z jaką wszystko robiła. Jej nienasycona ambicja pchała ją ciągle naprzód. Nienawidziła tych wszystkich pań, w których towarzystwie żyła, śmiała się z nich, kłuła je ostrem żądłem sarkazmu, ale pragnęła wszystkie prześcignąć w przepychu, upokorzyć i zaćmić. W domu obywła się byle

czem, kuchnią niewiele lepszą od chłopskiej, ubraniem nicowanem i przerabianem po kilka razy, kawą paloną z grochu, albo z żyta, byle oszczędzić i mieć pieniądze na kosztowne kształcenie dzieci zagranicą, na zbytłowne graty, na lokai, którzy całe dnie wysiadali w przedpokoju, na powozy i konie najpiękniejsze w okolicy, na wspaniałe przyjęcia, jakie urządzali dwa razy do roku, i na które spraszali całe dalsze i bliższe sąsiedztwo. Wtedy było wszystko po magnacku.

Józia się podniosła i poszła razem z Fifiną.

W stołowym siedział już mąż, wysoki, przygarbiony nieco pracą, mężczyzna o łagodnej twarzy, i rozmawiał z młodym praktykantem, obywatelskim synem z Krakowskiego, zapalonym myśliwym i gospodarzem, który w Ługach przechodził praktyczną szkołę gospodarską.

– Panie Zyguncie, mam ukłony dla pana.

– Wolno wiedzieć, kto o mnie pamięta? – zapytał Zygmunt, zwracając ku niej swoją piękną, arystokratyczną twarz, spaloną przez słońce na brąz.

– Zgadnij pan.

– Nie domyślę się, z pewnością się nie domyślę, ale to była kobieta, nieprawdaż?

– O tak, i bardzo piękna. – Założyła binokle, bo jej żółte oko zaczęło drgać newralgicznie na wspomnienie tej pięknej.

– Znam tylko jedną, zupełnie piękną kobietę w Polsce, moją kuzynkę, Jadzię Witowską; ale ta mnie niecierpi i nazywa dzikim człowiekiem; to nie ona, prawda?

– Ona. Spotkałam się z nią, jadąc do domu.

– Doprawdy, nigdybym nie przypuszczał, że pamięta o mnie?

– To, naturalnie, powiedziała mi w braku czegoś innego, więc niech się pan zbytnio nie cieszy. Trzeba było o czemś powiedzieć słów kilka, a że nie mamy nic wspólnego...

– Dziękuję, dziękuję, otrzeźwiła mnie pani, chociaż mogę upewnić panią, że jeszcze nie pływałem w słodkim obłoku marzeń o niej, nie. – Śmiał się Zygmunt, trochę z przymusem: nieszczerłość dźwięczała mu w głosie.

– Fifi! – wskazała szorstkim ruchem Zygmunta i talerze.

Fifi, utykając i kołyszając się, podsuwała mu kolację. Dla Zygmunta był befsztyk, koniak i piwo, a oni zadowolili się herbatą, wędlinami i resztką pieczeni z obiadu.

– Buraki?...

– Skończone. Jutro zaczniemy odstawiać do cukrowni – odpowiedział cicho mąż.

– Zredukuj płacę kopaczom o dziesięć groszy dziennie.

Zygmunt spojrział na nią z oburzeniem, mąż ani drgnął, tylko patrzył w szklanę, a Fifi roześmiała się sucho. Cisza się zrobiła długa, ale nikt głośno nie zaprotestował narazie.

– Obiecywałam płacić drożej, ja sam zapewniałem... – zaczął Zygmunt dość energicznie.

– Zapłacimy taniej. Wtedy, kiedyśmy zaczynali kopać buraki, były słoty i zimna, więc trudniej było dostać ludzi, ale skoro zrobiła się pogoda, niema sensu płacić tak drogo.

– Obiecywałam – szepnął mąż cicho.

– Zapłacimy inaczej. – Poruszyła się niecierpliwie na krześle.

– Będą malkontenci, będą się skarżyć, obmówią nas w okolicy o wyzysk biednych ludzi.

Józia pisała coś w notesie bardzo szybko, liczyła i sumowała.

– To wszystko razem jedno wielkie nic, i tak nas nikt nie oszczędza w tej szanownej okolicy. – Odpowiedziała twardo, schowała notes, dokończyła kolacji, skinęła Zygmunta głową, zabrała męża i poszła do kancelarii, w której siedzieli ze dwie godziny, obliczając robocizny i zapisując. Później wróciła do narożnego pokoju, gdzie już Fifina, czekając na nią zdrzemnęła się w biegunowym fotelu.

– Moja Fifi, na dywanie możesz sobie siadać, ale w fotelu, którego ja używam, proszę cię, nie wysypiaj się, tego nie znoszę – powiedziała szorstko. Francuzka zaczęła się lekliwie usprawiedliwiać.

– Głupia gęś jesteś; jeśli zrobisz co złego, to miejże odwagę znosić następstwa, a nie wykręcać się, jak dzieciak. Zaczniemy lekcję.

Lekcja ciągnęła się bardzo długo. Józia z niesłychaną cierpliwością tłumaczyła na język polski jakąś powiastkę i znosiła uszczypliwe uwagi i gniewne, pogardliwym tonem wypowiedane poprawki Fifiny, która w ten chociaż sposób wetowała swoje upokorzenia i krzywdy. Józia to czuła głęboko i nieraz rzucała w nią książką lub kajetem, ale uspokajała się błyskawicznie, przepraszała, a nie omieszkwała w najbliższym czasie udrczać jej z procentami. Pomimo wszystkiego, żyły na stopie przyjacielskiej, dopełniały się niejako i były sobie potrzebne.

Na drugi dzień, zaraz po południu, Józia kazała założyć konie do breku i pojechała do Osieckiej, bo już miała jakiś plan względem Janki, do którego wykonania była niezbędną Osiecka, dawna i dobra jej znajoma.

Osiecka mieszkała przy samym plancie kolei, od Bukowca ze dwie wiorsty, w małym kilkułózkowym folwarczku, położonym zupełnie samotnie, w lasach, a kupionym od Grzesikiewicza. Gospodarowała dosyć źle, ale nie żyła z ziemi, tylko z procentów. Kazała zbudować w tem zaciszu, jak nazywano jej osadę, bardzo elegancką willę, piętrową, z werandami z trzech stron. Widok z frontowych okien miała rozległy, bo pola, należące do niej, ciągnęły się długim pasem i kończyły daleko, za koleją, do której od domu szła alejka, wysadzona poczwórnym szeregiem brzoź i jodeł. Las stał z trzech stron, zieloną ramą obiegając ten szmat szczerkowej, dosyć lichej ziemi.

Józia znalazła Osiecką w saloniku, w chwili ataku wspomnień o ś. p. mężu i płaczów. Zastała także Świerkoskiego, który tutaj codziennym był gościem. Siedział zgięty i patrzył obojętnie na Osiecką płaczącą i na Zosię, zajętą wyszywaniem czerwonych kwiatów na fioletowej kanwie. Amis leżał przy nim, skomląc cicho, jakby wtórując Osieckiej, która, ujrawszy wchodzącą, powstrzymała ły i z żywością porwała się do przywitania.

– Przepraszam, bardzo przepraszam, przerywam jakąś scenę rodzinną – mówiła Józia, łącząc wzrokiem bezwiednie Świerkoskiego z Zosią.

– O nie, słowo daję, że nie, a jestem pani bardzo wdzięczną za odwiedziny. – Ścisnęła rękę Józii, wpijając w jej zamkniętą twarz czarne, niespokojne oczy.

– Pani pozwoli sobie przedstawić, pan Świerkoski, poczciwy, nie zapominający o samotnicach przyjaciel.

Świerkoski kłaniał się apatycznie.

– Miałam do kochanej sąsiadki interesik prawdziwie sąsiedzki, więc jeśli mi pani zechce poświęcić trochę czasu...

– Ależ, szanowna pani, doprawdy uradowana jestem, proszę mi wierzyć, tem samem, że pani jest łaskawą mieć do mnie interesik, jak ś. p. męża kocham, jestem uradowana; no, kiedy mówię, że jestem uradowana, to niema wątpliwości – dodała mocniej, obrzucając pokój oczyma.

Józia uśmiechała się złośliwie; wyszły zaraz na drugą stronę domu.

Świerkoski przysiadł się bliżej Zosi, pies biegał koło niej i wydierał jej zębami kanwę. Pogłaskała go i, nie podnosząc oczu, zapytała:

– Amis, prawda?

– Tak.

– Zawsze chodzi z panem?

– Tak.

– Dobry pies, ładny pies, mądry pies – mówiła, głaszcząc go pieszczotliwie.

Amis skakał i szczekał z radości. Świerkoskiemu rozbłysły oczy, wsadził rękę w zanadrze i zawołał cicho:

– Amis!

Pies odskoczył na środek pokoju, stanął na dwóch łapach i szedł ku niemu. Świerkoski wyjął kawałek cukru z kieszeni, położył mu na nosie i wstał, świsnął rzemieniem koło jego uszu i zakomenderował:

– Amis, marsz! rata ta ta ta! rata ta ta ta! – wołał, naśladowując bębnienie i wybijając takt nogą. Pies maszerował wokół sztywno, z cukrem na nosie i z wywieszonym różowym językiem, a on świstał tylko batem i bębnił.

Zosia opuściła robótkę i z podziwem przypatrywała się tej scenie.

– Rata ta ta ta ta! ognia! – krzyknął i chlasnął go batem przez grzbiet. Amis wywinął koziołka, cukier w powietrzu chwycił i zemknął pod fotel, na którym siedziała Zosia.

– Jakie to ładne! Pan go tak wyuczył?

– Tak.

– Musi dużo sztuk umieć.

– Zaraz pani pokażę. Amis! – Pies przyszedł niechętnie, oblizywał się i pokornie patrzył. – Amis, synku, pamiętaj, nie zrób wstydu panu – szepnął mu do ucha i głąskał. – No, Amis! kot! kot! kot!.. – Pies się wyciągnął i zaczął skakać po pokoju, udając, że go goni zawzięcie; przeskakiwał krzesła i stoły, szczekał zajadle i biegał wciąż wokółko. Zosia śmiała się rozbawiona ogromnie, a Świerkoski, kiedy pies już biegał jak szalony, wyjął rewolwer i strzelił w otwarty lufcik. Amis, jak martwy, przewrócił się na środku pokoju.

Zosia, przestraszona hukiem, zerwała się i podbiegła do Amisa, bo była pewna, że nieżywy.

– Zdechł pies, niema psa – wołał żalnym głosem Świerkoski, pochylając się nad nim. – Zdechł pies, zdechł!.. – przydeptał mu ogon, Amis przekręcił się na grzbiet, wtedy Świerkoski zaczął go obchodzić wokółko i udawać, to szczekanie psów, to kwik świń, to rzenie koni, to bek owiec, i tak dokładnie, że Amis, chociaż wiedział, kto to robi, nie mógł się powstrzymać od strzyżenia uszami i warczenia; potem udawał krakanie wron i targał go za skórę, wreszcie skręcił się i szedł do psa prawie na czworakach, i był głucho, jak wilk. Oczy roziskrzyły mu się zwierzęco, trójkątna twarz pociemniała, i wył, aż na podwórzu wszystkie psy wtórować mu zaczęły żałośnie, kury gdakały strachliwie, a gęsi z krzykiem próbowały uciekać na płoty. Zosia zbladła ze strachu.

Amis nie wytrzymał, porwał się i skoczył do drzwi, trząsł się cały, skrobał je rozpaczliwie i był głucho, bo Świerkoski patrzył na niego rozgorzałemi, wilczymi ślepiami, świstał batem i wył coraz przeraźliwiej, pies uciekł od drzwi i skoczył przez lufcik na werandę, a stamtąd na podwórze.

Świerkoski się wyprostował, przetarł sobie drżącą ręką oczy, popatrzył bezprzytomnie na Zosię, napół żywą z przestachu, i, chwiejąc się i wspierając o sprzęty, wyszedł, nie powiedziawszy ani słowa. Sam nie wiedział, co się z nim działo.

Zosia wyjrzała oknem i zobaczyła, że bił psa, a potem obaj szli alejką do frontu. Świerkoski, zgarbiony, kołysał się na długich nogach, a Amis włókł się ze spuszczonego łbem za nim.

Jeszcze się nie uspokoiła po wstrząsającym wrażeniu, jakie na nią wywarło wycie Świerkoskiego i jego twarz straszna, gdy weszła Osiecka i Józia.

– Pan Świerkoski poszedł?

– W tej chwili dopiero; ciocia nie słyszała strzału, ani wycia?

– Słyszałam, słyszałam – odpowiedziała niedbale.

– Nie zabieram czasu – powiedziała Józia, ucałowała Zosię i wyszła. Na werandzie Osiecka szepnęła jej do ucha:

– Najdłużej za dwa tygodnie będzie pani wiedzieć wszystko, natychmiast piszę w tej sprawie do znajomych.

– Czy ta Orłowska żyje z kim bliżej?

– Przyjaźni się z Zaleską, zna ją pani, idjotka muzykalna – zaśmiała się rubasznie z własnego konceptu. – Aha! rozumiałam panią. Franusia! nie wychodź z dzieckiem na powietrze – zawołała do tłustej mamki z dzieckiem na ręku, wychylającej się z za węgla. – To dziecko mojej siostry, chorowało na koklusz, więc dla zmiany powietrza przysłali je do mnie z Warszawy – tłumaczyła się śpiesznie.

Uścisnęły sobie ręce, i Józia odjechała w wyborzym humorze. Podcinała konie coraz częściej, pomimo, że biegły jak szalone wąską, leśną drożyną; brek podskakiwał niby piłka na grubych korzeniach i tak się kołysał chwilami gwałtownie, aż stangret chwycił się oburącz kozła, żeby nie

zlecieć. Lubiła tak jeździć, był to nieomylny znak zadowolenia, bo w złości chodziła zwykle pieszo. Droga biegła równolegle z koleją, przez wąski skrawek lasu żółcił się świeży nasyp. Przed stacją, na przecięciu drogi, wiodącej z Krosnowy, zobaczyła bułanki Andrzeja; uśmiech złośliwy przeleciał jej przez usta, oko zadrgało, podcięła mocniej koni, żeby jej nie spostrzegł, i zniknęła na skřęcie drogi, w lesie.

VIII

Andrzej po wczorajszym liście jechał z pierwszą wizytą do Janki. Miał być wieczorem, ale nie potrafił czekać, bo dzień mu się dłużył szalenie i matka go jeszcze przynaglała, aby nie odkładał. Pomimo radości, jaką mu dać miała ta długo oczekiwana chwila, był pełen niepokoju i obaw. Tyle już wycierpiał, że teraz bał się myśleć i wierzyć, że spełnią się jego marzenia; nawet głęboko w sercu tliła się gryząca pewność, którą pokrywał przypomnieniami jej listu, że coś się takiego stać musi, co ich znowu rozłączy. Myślał o powitaniu, gryzł wąsy, zapinał rękawiczki, które mu się ciągle rozpinają, i im był bliżej, tem wolniej jechać kazał stangretowi; był tak zatopiony w sobie, że nie widział przecinającej mu drogę Józi, ocknął się dopiero, gdy konie porwały się gwałtownie i skręciły z podjazdu w bok, w las. Przestraszyły się Zaleskiego, trenującego się na podjeździe stacyjnym. Stangret ściągnął konie, wykręcił je z pośród drzew, ale nie utrzymał, bo lejce pękły i konie przeleciały podjazd i wpadły do ogródka zawiadowcy, przeskakując niskie ogrodzenie z rur żelaznych. Stangret wyleciał, a Andrzej miał tyle przytomności, że wyskoczył; bryczka rozleciała się w kawałki, konie wpadły w wielki świerkowy klomb i zatrzymały się natychmiast.

Zrobił się tumult na stacji. Przyleciał Orłowski, a Zaleski błady i pomieszany, z rowerem przy sobie, stał pod stacją.

Wyprowadzono konie, i stangret, któremu się nic nie stało, pojechał do domu po drugą bryczkę. Andrzej miał tylko dłoń skaleczoną o jakiś kamień, okręcił ją silnie chustką, by zatamować krew i najspokojniej witał się z Orłowskim.

– No nic, wypadek, ale pan Zaleski mógłby jeździć gdzie indziej, nie tam, gdzie konie stają; bo moje widocznie przestraszyły się błysku kół rowera i poniosły.

Zaleski zaczął go przeproszać jak najserdeczniej.

– No mniejsza, stało się już i nie odstanie.

– Nie, panie Andrzeju, nie mniejsza; jeśli pan chcesz, możesz darować panu Zaleskiemu swoją ranę, rozbicie bryczki, przestach; ale ja nie mogę, bo to się sprzeciwia przepisom; tego płazem nie puszczę, raport złożę o tem, bo mi sumienie zamilczeć nie pozwoli.

– A składaj pan i dziesięć głupich raportowi – zawołał zirytowany Zaleski, skoczył na rower, i w gniewie zataczał coraz szybsze koła na podjeździe.

– Złożę tylko jeden, przysięgam Bogu, że złożę! – krzyczał Orłowski. – Narażasz pan ludzi na nieszczęście i to w czasie, kiedyś pan powinien być na służbie. Panie Babiński, panie Stanisławie! – wołał, wchodząc do kancelarji. – Napiszemy raport.

Staś list rozpoczęty do mamy wsunął pod papiery i niechętnie poszedł za Orłowskim, ale ten przypomniał sobie, że zostawił Grzesikiewicza przed stacją, i natychmiast wybiegł.

Staś śpiesznie dopisywał:

„list i koszyczek odebrałem, dziękuję z całego serca za kiszkę, tylko mi się zdaje, że słońca musiała być, bo dzisiaj ciągle mi się chce pić. W tej chwili konie Grzesikiewicza, tego, co jeździ do panny Orłowskiej, przestraszone rowerem Zaleskiego, poniosły; bryczka się potłukła w kawałki, ale jemu samemu nic się nie stało. Stary idjota chce pisać raport na Zaleskiego i pewnie napisze, bo był strasznie rozgniewany. Jeśli napisze, to Zaleski może mieć grubą nieprzyjemność, a może i translokację; niech się mama za kilka dni dowie w dyrekcji o tem. Wuj będzie wiedział. Posyłam flaszczykę na spirytus kamforowy. Wczoraj zużyłem resztę, zrobiło mi się zupełnie dobrze, bo spałem całą noc doskonale i dzisiaj rano język miałem zupełnie czysty. Może się mamusia spyta Felcia, co to może być, że mnie dzisiaj noga zabolęła w kostce, ale tak silnie, że ledwie chodziłem. Kiszki niech mama nie przysyła, wołałbym polędwicę, albo kiełbasę serdelową. Papierosów wystarczy mi jeszcze do niedzieli. Całuję mamusię serdecznie. Staś”.

Zaledwie zdążył list schować do koszyczka, który wysyłał do matki przez konduktorów, gdy Orłowski powrócił do kancelarji, bo osobowy pociąg dochodził do stacji.

Grzesikiewicz z bijącym sercem szedł na górę. Ręka bolała go dotkliwie, tłumił gniew z tego powodu, ale, znalazłszy się w tym samym saloniku, gdzie przed kilku miesiącami dostał odmowę, zapomniał o bólu, usiadł przy stole i ze drżeniem oczekiwał na Jankę.

Janka, pomimo pewności, że go zobaczy, była bardzo pomieszana. Patrzyła długo w lustro, przyglądała rozczochrane włosy, poprawiała ze szczególną starannością suknię, aby przedłużyć, o ile można wyjście.

Gdy wreszcie weszła do saloniku, Grzesikiewicz podniósł się, zaledwie mogąc pokryć wrażenie, jakie na nim wywarła jej dziwnie blada twarz, mocno czerwone usta i głębokie ślady choroby, tkwiące w kątach ust i w podkrążonych sinemi plamami oczach.

Ścisnęli sobie ręce w milczeniu.

Janka, z jakimś szerokim, nieco teatralnym gestem wskazała krzesło.

– Dziękuję raz jeszcze za pamięć. Bukiet zrobił mi wielką przyjemność, wielką – powtórzyła, czując, że mu sprawia temi słowami zadowolenie.

– Jeżeli pani pozwoli przysyłać sobie częściej kwiaty, sprawi mi pani głęboką radość – mówił przytłumionym głosem.

Podniósł rękę do wąsa, ale bezwiednie syknął z bólu.

– Co panu w rękę? – spostrzegła obwiązaną rękę chustką, na której występowały krwawe piętna.

– Bagatela; wyskakując z bryczki, upadłem rękoma na szaber.

– Mówiła mi służąca o tym wypadku, ale powiadała, że nikomu, prócz bryczki, nic się nie stało.

– Nic nie znacząca rana, spirytusem zaleję i boleć przestanie.

Janka dosyć żywo poszła po spirytus i pomimo jego oporu odwinęła mu chustkę z ręki. Janowa przyniosła miednicę z wodą, w której wymoczył rękę i zalał spirytusem pękniętą w środku dłoń; obwinęła ją świeżym kawałkiem płótna. Spirytus tak go szczypał w ranie, że zbladł i pot rześisty okrył mu twarz rosą, zaczął z bólu zęby i szeptał z trudem:

– Niech-że mnie pani nie rozpieszca... niech-że mnie pani nie przyzwyczajają, bo gotów jestem sobie całe ręce rozgnieść, aby zmusić panią do opatrunku.

Janka spojrzała na niego jasnym, dobrym wzrokiem. Pocałował ją w rękę.

– Wiedziałem dawno, że pani bardzo dobra.

Cień jakiś przysłonił jej oczy, pochyliła głowę, nie mogąc znieść jego wzroku.

– Co słyhać u państwa? Rodzice zdrowi, siostra?

– Mama przesyła przeze mnie tysiące pozdrowień i zapytanie serdeczne, kiedy pani raczy ją odwiedzić, bo czeka stęskniona za panią, jak my wszyscy – dodał ciszej.

– Wybierzemy się którego dnia z ojcem.

– Wie pani, nie mogę sobie uwierzyć, patrzę na panią, słucham, mówię, a nie śmiem przypuszczać, że to naprawdę jestem w tym samym saloniku.

Smutek zadrgał mu w głosie.

– A jednak to prawda, wszystko zdaje się powracać do punktu wyjścia – powiedziała poważnie.

– Być może, ale myśmy z ojcem pani tak stracili nadzieję zobaczenia pani tutaj, że jeszcze w tej chwili wątpliwości jakieś mnie przenikają, czy to nie jest sen zdradliwie łudzący pozorami rzeczywistości, czy to nie dalszy ciąg tych długich miesięcy oczekiwania. Pamiętam je głęboko. Przesiadaliśmy w tym saloniku całe wieczory, nie mówiąc ani słowa do siebie i wisząc myślami i duszą na tej fotografii – wskazał szorstkim ruchem fotografię, stojącą na stole.

Podniósł się, oczy przysłoniły mu się bólem przypomnień, i usiadł na drugim krześle. Janka w milczeniu przypatrywała się jego twarzy. Wydał się jej teraz nie tylko zupełnie przystojnym, ale i jakimś więcej interesującym. Nie było w nim nic z salonowca, ani z wielkomięskiego pudła, skaczącego niby na sprężynach koło kobiet. Głos brzmiał mu akcentami prawdy i wielkiego uczucia. Miał w sobie jakąś godność i siłę, która jej zaczęła imponować. Przyglądała mu się, niby aktorowi, grającemu swoją rolę z przejściem, śledziła jego szorstką mimikę, spojrzenia, ruchy, to goniła

wzrokiem błysk brylantowego pierścionka, który miał na palcu, przyczepiała się uwagą do szpilki w krawacie, byle tylko zagłuszyć w sobie jakieś uczucie żalu i winy, jakie się w niej budziło.

– Jeździł pan latem zagranicę? – przerwała to milczenie męczące, które już dosyć długo trwało.

– Nie, ale... – zakaszła, aby zagłuszyć to „ale”, bo chciał powiedzieć, że jeździł do Warszawy co tydzień, aby ją chociaż zdaleka zobaczyć.

– Zazdroszczę mężczyznom swobody; możecie panowie robić, co wam się podoba, nie potrzebując z niczego i przed nikim składać rachunku.

– Tak, ale za często nadużywają tej swobody.

– Czy to we wszystkich wypadkach miałyby być złem?

– Z pewnością, bo każde nadużycie, każdy wybryk, każdy niepotrzebny czyn mści się później najsrożej na nas samych.

Głęboko poczuła te słowa, zdawało się jej, że umyślnie powiedział do niej, i już oczy rozgorzały, już miała okazać chwilowe uczucie gniewu, ale się powstrzymała. Siedziała w milczeniu kłopotliwym.

Andrzej miał tyle do powiedzenia, tyle uczuć przepełniło mu serce, tyle myśli tłoczyło się pod czaszką, a nie śmiał nic mówić, siedział skępowany nieśmiałością własną i jej pozornym chłodem wzroku.

– Żyją jeszcze bułanki? – zapytała znowu, aby tylko mówić.

– Żyją i to one rozbiegały się dzisiaj.

I znowu milczenie przykre i denerwujące.

„Co tu mówić, o czym?...” – myślała Janka z rozpaczą i wstała, poprawiła abażur na lampie, złożyła porzrzucone albumy, zajmowała ręce i poruszała się, żeby stłumić rosnącą coraz bardziej przykrość tego dziwnego przymusu, jaki panował pomiędzy nimi. Ta przeszłość jej niedawna stała się pomiędzy nimi, i nie mogli się zbliżyć do siebie, nie mogli swobodnie rozmawiać, nie mogli nawet patrzeć na siebie prosto i jasno, bo jemu obok tej Janki, jaką teraz widział, stała tamta, z teatru, wśród sceny przyćmionej nieco; tamta Janka – wymalowana, w hecarskim kostjumie, rzucająca wyzywające spojrzenia na pierwsze rzędy krzesel; tamta Janka – aktorka, której nienawidził za cierpienia, których była przyczyną; ona czuła, co się w nim dzieje, prawie widziała, jakie myśli krążą mu w głowie, czytała mu to wszystko z oczu i to ją gnębiło, i rozstrajało nerwowo; chciała, aby zapomniał o tem i nie myślał.

– Zostanie pan na herbacie... prawda? – zapytała, widząc, że się podnosi. – Ojciec zaraz przyjdzie ze służby. Pozostawię pana na chwilę samego.

Wyszła zająć się herbatą, a Andrzejowi zrobiło się jakoś jaśniej w duszy. Widział ją w tej chwilowej samotności inną, niż dawniej, imponującą więcej, ale i przez to droższą. Kocham ją! – myślał i czuł, że ją teraz kocha jakoś inaczej, niżli dawniej, głębiej i lepiej, że wzbudziła w nim szacunek, bo zobaczył w niej poza kobietą, której piękność go pociągała, duszę jakąś większą. – Kocham! – szeptał z mocą i jego nieugięta, twarda, chłopska dusza ze drżeniem rozkoszy kłękała przed jej duszą i zanosila niewolnicze modły.

Przyszedł Orłowski, i wkrótce usiedli do herbaty. Zrobiło się wesoło i swobodnie. Janka miała humor i czuła się zadowoloną; Andrzej rozmawiał wiele i ze swoją porywcznością trochę nieokrzesaną, prawie w każdym słowie i spojrzeniu, mówił jej o swojej miłości. Rozumiała go, była mu wdzięczną, tylko chwilami na spokojny ton jej usposobienia i myśli padał cień jakiś, mąciło się w niej wszystko na mgnienie, niedostrzegalnie, jak woda, gdy pod samą powierzchnią przepływa ryba; przechodziło to prędko, że znowu mówiła, ożywiała się, błyskała czasami subtelnym dowcipem, którego Andrzej nie odczuwał, nawet jej twarz błada zabarwiła się lekkim karminem krwi szybciej krążącej.

Orłowski był uradowany, ale po wybuchach śmiechu, lub po gorąco wygłoszonym zdaniu, wpadał w zamyślenie, odwracał się prędko i rzucał przestraszone spojrzenia za siebie, i później tem usilniej łączył się, i brał udział w rozmowie, aby się ogłuszyć.

– Doprawdy, tak mi tutaj dobrze, że radbym to dobro pić codziennie – powiedział Andrzej, podnosząc się do odjazdu.

– Pij pan, dokąd nie obrzydnie – powiedziała wesoło.

Ucałował jej ręce, czuła, że zdrzął po tych słowach, i kiedy wychodził, rzucił na nią jedno z tych spojrzeń, które są najgłębszym wyrazem miłości.

Wyglądała za nim oknami z kuchni, odczuł jej wzrok, bo się z bryczki odwrócił i przesłał ukłon kapeluszem.

Gdy tylko zostali sami, Orłowski wyjął jakiś papier i dał go do przeczytania Jance. Była to rezolucja Dyrekcji, na jego raport złożony na siebie.

Naczelnik wydziału w bardzo poważnie brzmiących słowach, w których jednocześnie tkwiła ironja, polecał:

„Zawiadowcy st. Bukowiec, zawiadomić p. o. ekspedytora tej stacji, Orłowskiego, że na skutek zażaleń publiczności i motywów przytoczonych przez jego bezpośredniego zwierzchnika, zawiadowcę stacji, p. Orłowskiego, Dyrekcja skazuje go na trzyrublową karę, z tem nadmieniem, aby w przyszłości się to nie powtórzyło, i robi zawiadowcę stacji, p. Orłowskiego, odpowiedzialnym na przyszłość za gorliwe i akuratne wypełnianie obowiązków służbowych przez p. o. ekspedytora tejże stacji, Orłowskiego”.

Janka zdrząła, przeczytawszy, stanęły jej w myśli słowa doktora, przypomniały się jej wszystkie dziwactwa warjackie ojca, oddała papier, nie wiedząc, co mówić.

– Surowa kara, prawda? – szepnęła cicho. – Surowa, ale sprawiedliwa. Urzędnik nie powinien ulegać słabościom; kto jest na służbie, ten jest jakby na wojnie, ten nie ma ojca, matki, dzieci, rodziny, ma tylko obowiązek. Tak i oni to zrozumieli, uznali nareszcie to, o co się upominałem dawno. Zrozumieli i czynią mnie odpowiedzialnym za czynności ekspedytora, polecając czuwać nad nim. Słuszne, nic słuszniejszego.

– Jak to pogodzi ojciec, spełniając obydwie czynności – mówiła nieśmiało, bojąc się go rozdrażnić, a pragnęła w jaki bądź sposób wywieść go z tego błędnego koła.

– To się tylko tak mówi, że ja jeden spełniam obie służby, tak się mówi, ale jest inaczej. Czułem to dawno, a teraz po raz pierwszy i stanowczy uznała to Dyrekcja, pisząc: „zrobić zawiadowcę stacji, p. Orłowskiego, odpowiedzialnym na przyszłość za gorliwe i akuratne wypełnianie obowiązków służbowych przez p. o. ekspedytora tejże stacji, Orłowskiego”. To przecież wyraźnie powiedziane. Tak, dziecko, w istocie, w Bukowcu jest nas dwóch: Orłowski zawiadowca i Orłowski ekspedytor. Ja tak dawno myślałem: tak, są dwa etaty, dwa odrębne zajęcia, spełniane przez dwóch różnych ludzi. Z pewnością tak jest, pisze to sama Dyrekcja, która nie myli się chyba. – Zaśmiał się głośno, wzruszył ramionami, chwycił zębami brodę i chodził po pokoju, przyglądając się co chwila papierowi. Przystawał na chwilę, jakby pod wpływem niejasnych wątpliwości, jakie w nim tkwiły jeszcze, ale odczytywał odezwę, patrzył przed siebie, daleko, uderzał palcami w papier z uśmiechem zadowolenia i pewności.

– Jakże się ojcu wydał dzisiaj Grzesikiewicz? – zapytała, aby go oderwać od tych myśli.

– Ho, ho, miałem rację!... a Grzesikiewicz?... dobrze, bardzo dobrze. Bardzo dużo mówiliście ze sobą – ocknął się, papier schował do kieszeni. – Wiesz – zaczął, siadając obok niej zupełnie przytomny – że takiego dobrego i uczciwego człowieka nie znam drugiego na świecie. Żebyś chciała iść za niego, byłbym zupełnie szczęśliwy. No, ja cię nie zmuszam, przysięgam Bogu, nie zmuszam – mówił prędko, spostrzegłszy chmurę na jej twarzy. – Myślałem sobie tylko, że gdybyś mieszkała w Krosnowie, to jeździłbym do was codziennie.

– Dlaczego ojciec nie rzuci służby? Miałby ojciec zupełną swobodę, nie potrzebaby znosić zmartwień i kłopotów. POCO ojcu służyć? Przecież to, co ojciec ma, wystarczyłoby nam na swobodne, niezależne zupełnie życie.

– Myślałem o tem i zrobi się to, robi, ale teraz jeszcze nie można. Dopóki siły są, potrzeba coś robić i być czemś, zresztą, jestem potrzebny tutaj, bo kolej to społeczna instytucja, to krwionośne naczynie kraju, od jej prawidłowego funkcjonowania zależy cały organizm, zdrowie jego i siła; otóż ja znam, rozumiem i kocham swoje powołanie, a ludzi oddanych pracy, ludzi, którzyby służbie

chcieli się poświęcić w zupełności, jest coraz mniej. Taki Zaleski, na przykład, to mydłek, któremu rower tylko po łbie jeździ, który był w pięćdziesięciu służbach, takiemu idzie tylko o zapłatę i nic więcej. Stasio, to idjota. Świerkoski – zdziczała pomiędzy chłopstwem dusza. Karaś! ten, gdyby nie był zwierzęciem przede wszystkim, które pije i goni za kobietami, mógłby być dobrym funkcjonariuszem, bo rozumie, że słuchać potrzeba. A niższa służba! każdy tylko szuka sposobów wywinienia się gładkiego od wypełniania obowiązków. Tak, czuję, że, żyjąc razem, byłoby nam dobrze, myślałem już nawet o tem, ale co jabyłem robił bez służby? Człowiek całe życie przywykł chodzić w kieracie, jak koń, który chociaż odwiązany od dyszla, to i tak będzie chodził wkołko, z pochylonym łbem, bo już inaczej nie umie. – Zaczął się śmiać z własnego porównania.

Janka się uspokoiła, bo jego myśli wydały się jej zupełnie logicznymi.

– Posłużę jeszcze czas jakiś, niech się przyzwyczajają, niech zapomną, że żyli kiedyś inaczej, to już później beze mnie będą robić wszystko, samym ruchem porwani. To moja idea, że mało o tem kto wie i zdaje sobie sprawę; że mnie nie uznają, że nazywają mnie tyranem, że na moje projekty administracyjne odpowiadają często odmownie, to mnie chwilami boli, ale pomimo wszystkiego wytrwam, bo mam nagrodę w sobie, w sumieniu, w pewności, że tak robić powinienem!

Tak się rozgadał i ożywił, że opowiadał jej najrozmaitsze rzeczy, rozwijał teorię ekonomiczną; projekty uproszczonej administracji; przechodził na coraz szersze widnokręgi, zataczał coraz większe koła, porównywał ustroje państw, wykazywał wady panujących systemów wytwórczości, ich ścisły związek z moralnością, etyką, wyobrażeniami, liczbą urodzin i śmierci. Rzucił cyframi, które kreślił palcem w powietrzu, cytował z pamięci zdania autorów, studjowanych w tych obchodzących go kwestjach, zbijał niektóre twierdzenia, zapalał się, unosił, porywał sam siebie głosem i gestami, a chwilami przerywał, rzucał jakimś mętym, zaniepokojonym wzrokiem dokoła, uśmiechał się blade do Janki, zdumionej tą powodzią słów i myśli, bo nigdy ojca takim nie widziała, ścisnął oburącz głowę i snuł dalej marzenia, tylko ciszej i bezładniej, czasem wypowiadał tylko zarys myśli, jedno zdanie, jeden dźwięk i oglądał się za siebie z przestrachem i przez długą chwilę siedział w milczeniu, zatapiając twarz w wielkiej płachcie gazety, rozłożonej na stole. Wkońcu zerwał się i bez słowa poszedł do swojego pokoju.

Janka poszła także spać i pomimo trwóg i obaw o niego, usnęła zaraz, zmęczona tylu wrażeniami, ale po pewnym czasie obudził ją jakiś przytłumiony głos. Podniosła głowę i słuchała. Zaleska, jak zwykle o tej godzinie, grała niekończące się gamy, dźwięki lały się monotennie, ale na ich tle drgały jakieś nieznane, bliższe szepty, to wykrzykniki, to słowa jakby prośb pokornych.

Poszła do saloniku, do pokoju ojca drzwi były uchylone.

Orłowski w kalesonach, ale w mundurze i czerwonej czapce, stał na środku pokoju; świeca, płonąca na stolyczku przy łóżku, obrzucała go mętym, żółtawym światłem.

– Panie ekspedytorze, mówiłem: żadnych tłumaczeń, bo, przysięgam Bogu, nie uwzględnię. Dyrekcja skazała pana na trzy ruble kary, to pan zapłacisz i na przyszłość żadnych wykroczeń, żadnych, bo ja, naczelnik pański, nie pozwalam: słyszysz pan, nie pozwalam – mówił poważnie, rozwłócząc litery, nachylił się, jakby nad kimś znacznie niższym od siebie, pogroził palcem i odszedł, zrzucił mundur i czapkę, zaczął chodzić drobnymi krokami, obcierał spocone czoło i, garbiąc się i pochylając, szeptał zmienionym głosem i tak różnym, że Janka zajrzała lepiej, bo była narazie pewna, że tam jest ktoś drugi jeszcze. Orłowski chodził po jednej stronie pokoju, wprost drzwi uchylonych, które patrzyła, wyciągnął rękę do miejsca, gdzie stał przedtem.

– Panie naczelniku, daję słowo uczciwego człowieka, jak córkę kocham, że niestuszenie mnie karzą. Byłem rozdrażniony wtedy, byłem chory, byłem nieprzytomny, prawda. Żydzi się tłoczyli, krzyczyli, uderzyłem jednego, prawda. Podnieśli krzyk, kazałem ich wyrzucić, prawda... ale niech pan naczelnik pamięta, że wtedy córka była śmiertelnie chora, że ją dopiero co przywiozłem z Warszawy, że byłem bardzo nieszczęśliwy. Panie naczelniku! a gdyby tak panu jedyna córka odjechała z domu, poszła do teatru, nie pisała przez kilka miesięcy, gdyby tak pana, ojca, rzuciła jak stary łach, i gdybyś pan to dziecko tak kochał, jak ja kocham, i gdyby ci potem zachorowała

śmiertelnie, czy miałbyś przytomność, czy miałbyś poza nią jaką służbę? O, co ja wycierpiałem, co ja przeszedłem! – jęczał, zakrył twarz rękoma i szeptał poprzez łkanie; łzy zaczęły mu przeciekać przez palce i spływać po zbladłych policzkach i taki ból, taki wściekły ból skręcał mu serce, że tracił chwilami przytomność, chwycił się poręczy krzesła, żeby nie runąć, kręcił się wkółko, składał błagalnie ręce i szeptał jakieś niedosłyszalne, bolesne skargi, to milczał, długo, wpatrując się z pokorą w tę urojoną postać naczelnika, w to drugie swoje ja, które widział przed sobą najwyraźniej.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.